

Spotkania Klubu Kultury im. Heleny Modrzejewskiej

w latach

2006 – 2008

Dorota Czajka-Olszewska – Prezes; Krystyna Kuszta – Wiceprezes; Elżbieta Kański – Sekretarz;
Danuta Żuchowska – Skarbnik; Członkowie Zarządu – Krystyna Okuniewska, Lilianna Moradi,
Jacek Roszkowski, Sławek Brzeziński



„Współczesny język publiczny i jego odmiany” wykład profesora Jerzego Bralczyka 16 września 2006



Prawda to stara jak świat, że nie tylko szata zdoła ozdobić człowieka. Wszakże nie tylko szata przydaje nam elegancji, ale również, a może i przede wszystkim, pełen staranności język. Język to także narzędzie w rękach polityków, mediów i reklamy, o czym każdy świadomy użytkownik języka pamiętać powinien. O ciemnych zakamarkach współczesnego języka publicznego, jego zasadzkach, a także niezwykłej sile i mechanizmach przekonywania opowiadał przybyły na specjalne zaproszenie Klubu im. Heleny Modrzejewskiej profesor Jerzy Bralczyk w wykładzie zatytułowanym „Współczesny język publiczny i jego odmiany”. Spotkanie odbyło się 16 września 2006 roku w gościnnych progach rezydencji państwa Elżbiety i Jana Iwańczyk.

Jerzy Bralczyk, profesor zwyczajny, jest znakomitym polskim językoznawcą, specjalistą w dziedzinie języka polityki, mediów i reklamy. Uczy w Instytucie Dziennikarstwa Uniwersytetu Warszawskiego oraz w Szkole Wyższej Psychologii Społecznej. Olbrzymią popularność przyniosły Jerzemu Bralczykowi cotygodniowe programy w Telewizji Polonia pod tytułem „Mówi się” oraz codzienne audycje radiowe „Słowo o słowie”. Pan profesor kolekcjonuje kolejne wydania „Pana Tadeusza” i posiada najprawdopodobniej największy tego rodzaju zbiór nie tylko w Polsce, ale i na świecie. Zbiera też stare podręczniki dobrego zachowania i mówienia. „Pana Tadeusza” zna niemal w całości na pamięć, o czym miałam okazję przekonać się osobiście. Profesor Jerzy Bralczyk jest autorem wielu artykułów i publikacji książkowych, napisał między innymi „Mój język prywatny”, „Polak potrafi. Przysłowia, hasła i inne polskie zdania osobne”, „O języku polskiej propagandy politycznej lat siedemdziesiątych”, „Język na sprzedaż”, „Mówi się”, „Przestrogi i porady językowe dla dziennikarzy”, „O języku polskiej polityki lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych”, „Leksykon zdań polskich”, „Leksykon nowych zdań polskich”.

W błyskotliwie, niezwykle dowcipnie i po mistrzowsku wręcz wygłoszonym wykładzie profesor Jerzy Bralczyk wyróżnił pięć odmian języka publicznego: odmianę narodowo-konserwatywną, sukcesu, politycznej poprawności, populistyczną i języka luzu. Odmiana narodowo-konserwatywna wzorowana jest na polskiej literaturze romantycznej (przede wszystkim na pełnej patosu twórczości Marii Konopnickiej) i dominuje w dzisiejszym dyskursie politycznym.

Odwołuje się do odwiecznych wartości: patriotyzmu i rodziny (i trochę też nimi szantażuje, bo wszak kto za wartościami nie jest, jest przeciwko nim). Do drugiej odmiany językowej nasz gość zaliczył wszechobecny w reklamie pełen optymizmu język sukcesu. Polityczna poprawność językowa (odmiana trzecia) opiera się na wzorcach oświeceniowych, wierze w rozum, stąd dużo w niej terminologii urzędowej. Wyrazistymi opozycjami operuje język populistyczny, który jako najwyższą wartość przedstawia dobro zwykłego człowieka. Nastawiony na zdecydowane i wyraziste „wyłożenie prawdy” i obronę praw krzywdzonego obywatela, sięga często do wulgaryzmów. Język luzu, rodem z internetowych blogów, czatów i telefonicznych komunikatów tekstowych, to język młodzieży. Ekonomiczny, swobodny, operujący skrótami, z których niektóre, jak na przykład „spoko” czy „nara”, weszły już do potocznego języka.

W swym wykładzie pan profesor zwrócił uwagę na zmiany jakie zaszły w pojmowaniu funkcji języka. Porozumiewanie się zostało zastąpione komunikowaniem się, czyli wysyłaniem komunikatów i to takich, które nakłaniają „odbiorcę” do działań przez „nadawcę” zaprogramowanych. Pewna arogancja i wiara w nieskończone możliwości człowieka pojawia się w terminologii businessowej. Mówimy o „zarządzaniu czasem”, tak jakby czas dawał się sobą zarządzać, jakby nie pozostawał poza ludzkim wpływem i działaniami.

Olbrzymim zainteresowaniem cieszyły się zaprezentowane przez profesora Bralczyka książki: „Mój język prywatny” (Wydawnictwo ISKRY, www.iskry.com.pl) oraz wychodzące w następującej kolejności leksykony zdań powszechnie przez Polaków używanych i rozpoznawanych: „Leksykon zdań polskich”, „Leksykon nowych zdań polskich” i „Polak potrafi. Przysłowia, hasła i inne polskie zdania osobne” (Świat Książki, www.swiatksiazki.pl). Kto chciałby poznać historię powiedzeń „Czy jest suchy chleb dla konia?”, „Co dwie głowy, to nie jedna”, „Żebyśmy tylko zdrowi byli” i wielu, wielu innych, po leksykony sięgnąć musi.

Pełen humoru, ciekawych przykładów i odniesień wykład wzbudził wśród licznie przybyłych słuchaczy wielkie emocje i gdyby nie ograniczony czas spotkania dyskusjom i pytaniom nie byłoby końca.

O czym donosi,

Dorota Czajka-Olszewska





Spotkanie z aktorem Markiem Proboszem 29 października 2006

O granicach ludzkiej wytrzymałości, o „śpiączce dobrobytu”, o poezji, historii, pracy w Hollywood i o tym czy świat potrzebuje bohaterów - 29 października 2006 roku członkowie Klubu im. Heleny Modrzejewskiej rozmawiali ze swym gościem Markiem Proboszem, absolwentem Wydziału Aktorskiego PWSFTviT w Łodzi oraz wydziału reżyserii filmowej w The American Film Institute w Los Angeles, scenarzystą i profesorem aktorstwa na UCLA.

Marek Probosz debiutował w 1978 roku w obsypanym nagrodami polskim serialu „Ślad na ziemi”. Zagrał w prawie pięćdziesięciu filmach, w tym w produkcjach czeskich i amerykańskich. Ostatnio wcielił się w postać samego Romana Polańskiego w filmie „Helter Skelter” opisującym tragiczny okres z życia słynnego reżysera, kiedy z rąk bandy Mansona zginęli jego oczekująca dziecka żona i przyjaciele. Probosz wystąpił również w jednym z najnowszych filmów Agnieszki Holland „Prawdziwa historia Janosika i Uhorcika”. W Polsce widzowie znają aktora z bijącego rekordy oglądalności serialu „M jak miłość”, w którym zagrał kontrowersyjną postać homoseksualisty Grzegorza oraz z kinowego debiutu Dominika Matwiejczyka „Krótka historia czasu” (profesor Wolański). Z Ryszardem Bugajskim Marek Probosz miał już wcześniej okazję pracować przy realizacji „Graczy”, filmu o pierwszych demokratycznych wyborach w Polsce. Wcielił się tam w postać szefa kampanii wyborczej Tadeusza Mazowieckiego.

Marek Probosz zagrał główną rolę w filmie Ryszarda Bugajskiego „Śmierć rotmistrza Pileckiego”, wstrząsającej historii o Witoldzie Pileckim, piśsudczyku, uczestniku wojny polsko-bolszewickiej w 1920 roku i kampanii wrześniowej w 1939 roku, oficerze Armii Krajowej, który w czasie II wojny światowej zgłosił się do obozu w Oświęcimiu, aby zorganizować wśród więźniów podziemie i w ten sposób obóz wyzwolić, żołnierzu Powstania Warszawskiego, jeńcu oflagów, żołnierzu II Korpusu we Włoszech, po powrocie do Polski torturowanym i skazanym na śmierć przez komunistyczny rząd, a po wykonaniu wyroku pogrzebanym na wysypisku śmieci. Heroizm Pileckiego był heroizmem najwyższej próby, bo sprawdzonym, nie szukającym nagrody ani pokłasku, wynikającym z wiary w odwieczne wartości: prawdę i dobro. Siły i wiedzę o tym co w życiu najważniejsze czerpał Pilecki z niewielkiej książeczki „O naśladowaniu Chrystusa” Tomasza à Kempis (mogliśmy ją na spotkaniu obejrzeć).

Postać Witolda Pileckiego wymagała aktorstwa dojrzałego i prawdziwego i takie Marek Probosz w filmie zaprezentował. Nie grał, a był rotmistrem Pileckim, całkowicie podczas pracy nad filmem z bohaterem się identyfikował. W oryginalnych, doskonale zakonserwowanych wnętrzach więzienia na Rakowieckiej aktor czuł wyraźnie obecność Pileckiego, nawiązywał z nim wewnętrzny kontakt, prosił o wsparcie i prowadzenie.

Film „Śmierć rotmistrza Pileckiego” został wyświetlony w przeddzień spotkania klubowego na specjalnym pokazie zorganizowanym na UCLA przez Polski Konsulat z okazji Miesiąca Polsko-Amerykańskiego Dziedzictwa Narodowego. Obraz zrobił na widzach olbrzymie wrażenie, o czym świadczyły dyskusje prowadzone jeszcze następnego dnia na spotkaniu w Klubie Modrzejewskiej, niemal każdy bowiem odnalazł w tej przejmującej historii ślad własnej tragedii rodzinnej.

Był również czas na opowieści o dziadku Jerzym Proboszu, pisarzu i poecie zamordowanym w obozie koncentracyjnym w Dachau i o góralskich korzeniach, co artysta podkreślił przychodząc na spotkanie w pięknie haftowanej góralskiej koszuli i kamizelce.

Ze wszystkich języków, w których przypadło aktorowi grać, czeski okazał się sercu najbliższym i tym właśnie językiem płynnie się kiedyś posługiwał.

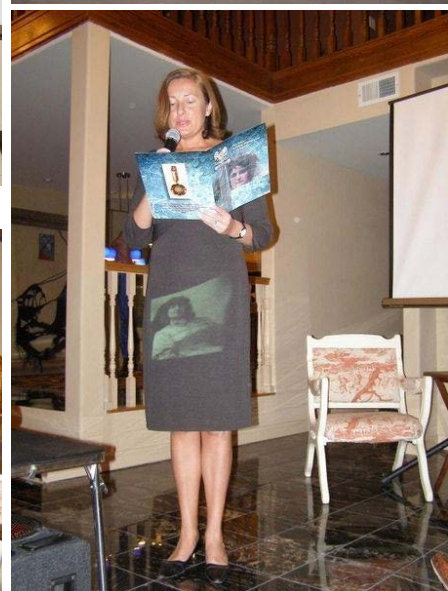
Studia - jak wspominał na spotkaniu Marek Probosz - to czas niepokoju i buntu, działalność w pierwszym Niezależnym Związku Studentów w łódzkiej „filmówce”. Za zbyt indywidualizm artysta był usuwany z uczelni kilkakrotnie.

Rozmowę z Markiem Proboszem przeprowadziła dr Maja Trochimczyk, a materiał filmowy o bogatym dorobku naszego gościa przygotował Sławek Brzeziński. Gościny Klubowi udzielili Państwo Monique i David Lehman, których przyjazna rezydencja jak zwykle zachwycała niezwykłej urody kilimami autorstwa samej pani domu.

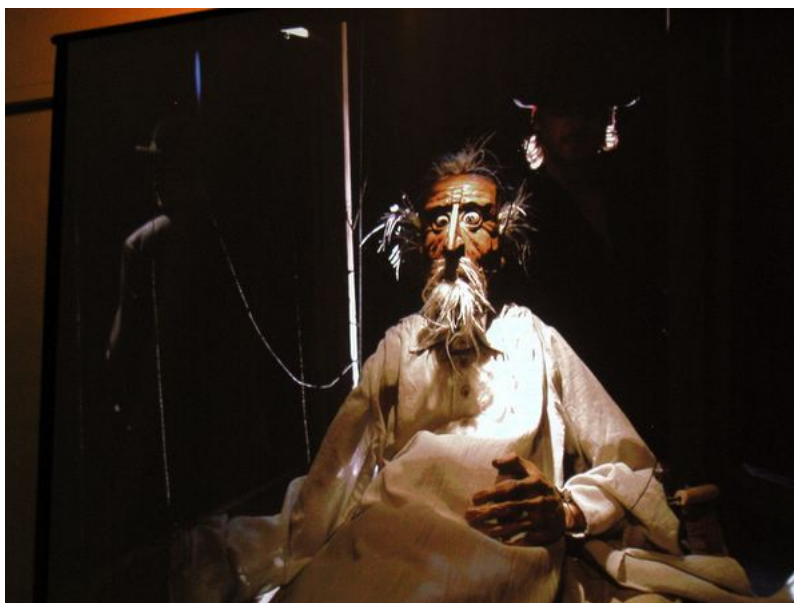
O czym donosi,

Dorota Czajka-Olszewska





Spotkanie z Wrocławskim Teatrem Lalek 12 listopada 2006



Pierwsze kontakty ze sztuką sięgają najczęściej czasów dawno minionego dzieciństwa, czasów na długo przed erą wideo, DVD, popcornu i klimatyzowanych pomieszczeń kinowych z ergonomicznymi fotelami. Nierozłącznie związane są ze wspomnieniem odświętnych ubranek, batoników kupowanych w przerwie oraz z niekłamana pasją z jaką młodociani widzowie odbierali spektakle lalkowe w najprzeróżniejszych zakątkach Polski. Gość Klubu Modrzejewskiej, znakomity Wrocławski Teatr Lalek stał się przewodnikiem po tym „raju utraconym”, a na spotkaniu w arkana sztuki lalkarskiej wraz z całym zespołem wprowadzali nas pan dyrektor Aleksander Maksymiak, aktor, scenograf i reżyser, pani Jolanta Góralczyk, aktorka, a jednocześnie profesor i dziekan Wydziału Lalkarskiego Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej we Wrocławiu oraz pani Anna Hejno, kierownik Biura Promocji i Marketingu.

Całkiem niedawno minęła okrągła rocznica działalności teatru. 60 lat temu, a dokładnie 18 października 1946 roku odbył się pierwszy spektakl lalkowy w powojennym Wrocławiu. Nasi goście opowiedzieli co się w ciągu tego ponad półwiecza na deskach wrocławskiego teatru wydarzyło.

Ranga artystyczna Państwowego Teatru Lalkowego „Chochlik” zaczęła rosnąć od objęcia go przez Stanisława Stapfa w przełomowych dla Teatru latach 60-tych. Dzięki energii i zabiegom Stapfa Teatr zaczął wkrótce dysponować profesjonalnym zespołem aktorskim i zmienił nazwę na Wrocławski Teatr Lalek. Utworzono trzy sceny: przedszkolną, dużą (dla dzieci w wieku szkolnym) oraz małą (dla młodzieży i dorosłych). Stapf zorganizował też Studium Aktorskie Teatrów Lalkowych, a wkrótce Wydział Lalkarski Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej we Wrocławiu, który do dzisiaj działa jako wydział zamiejscowy PWST im. Ludwika Solskiego w Krakowie.

Wrocławski Teatr Lalek zajmuje ważne miejsce we współczesnym lalkarstwie europejskim, co potwierdzają liczne nagrody i wyróżnienia. W ciągu ostatnich 30-tu lat Teatr odbył ponad 50 tournées, wystąpił w Niemczech, Jugosławii, Finlandii, Francji, Szwecji, Szwajcarii, Austrii, we Włoszech i na Węgrzech. Uczestniczył w prestiżowych festiwalach w Japonii i obu Amerykach. Jego spektakle oparte są na najlepszych tekstach dramatycznych, a do współpracy zapraszani są najwybitniejsi reżyserzy, scenografowie i muzycy. Teatr eksperymentuje, przekracza granice dotychczas ustalone w tradycji teatru lalkowego, sięga do różnych kultur i epok, stosuje najróżniejsze techniki wizualizacji, między innymi często łączy plan lalkowy z żywym planem aktorskim.

Uczestnicy spotkania wiedzieć chcieli między innymi jakim sposobem martwa ze swej natury lalka na scenie nagle ożywa. Na jej „żywość” i dynamiczność, tłumaczyli artyści, wpływa wiele czynników: wykonanie, scenografia, ruch oraz oświetlenie, dzięki któremu na twarzy lalki można odmalować najróżniejsze emocje. Istnieją różne techniki poruszania lalką: tradycyjne kukielki umocowane są na patykach, marionetki poruszane są za pomocą nitek, a pacynki nakładane są na dłoń. Lalkarstwo to cała odrębna i bogata dziedzina sztuki, o czym przekonaliśmy się wertując karty „Dla jednego gestu”, pięknego albumu wydanego z okazji 60-lecia teatru, a który przez artystów został Klubowi wręczony w prezencie.

W dni poprzedzające spotkanie klubowe mieliśmy okazję dzięki staraniom Joanny Klass i Arden2 obejrzeć w prestiżowym Redcat w Disney Hall spektakl „Ostatnia ucieczka” w wykonaniu artystów z Wrocławskiego Teatru Lalek. Spektakl wcześniej został entuzjastycznie przyjęty przez publiczność XL Festiwalu Przeglądu Teatru Małych Form w Szczecinie (którego niżej podpisana jeszcze w „czasach polskich” była stałym bywalcem), a sam dyrektor Aleksander Maksymiak otrzymał nagrodę Towarzystwa Przyjaciół Szczecina za kształt teatralny przedstawienia. Zainteresowanie „Ostatnią ucieczką” w Los Angeles było tak duże, że gospodarze całego przedsięwzięcia zmuszeni byli do zorganizowania dodatkowego czwartego pokazu dla tych, dla których biletów zabrakło.

„Ostatnia ucieczka” stanowi doskonałą syntezę różnych sztuk: lalkarskiej, aktorskiej, muzycznej i plastycznej.

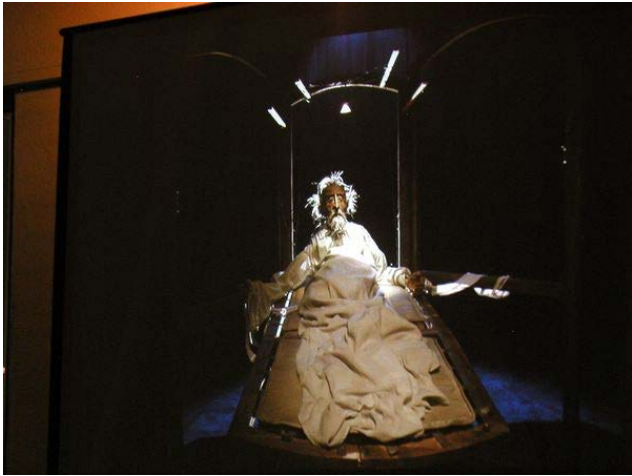
Odniosłam wrażenie, że tekst w przedstawieniu „Ostatnia ucieczka” jest tylko pretekstem do stworzenia tak złożonego obrazu, jest jednym z jego równoprawnych elementów. Już Szajna stworzył teatr, w którym wszystkie elementy są równorzędne, a aktorzy pełnią rolę niemalże marionetek. Jest to teatr podporządkowany własnej wizji świata, w tym wypadku wizji Schulza i twórców przedstawienia. Nie mająca równych sobie, oniryczna proza Schulza została przełożona na język obrazu, a słowo pełni w spektaklu jedynie rolę przewodnika po świecie wspomnień. Lalki, a zwłaszcza postać dróżnika, mają charakter symboliczny. Kolejarz, który przypomina z postury Kostuchę, podobnie jak ona wyznacza granice ludzkiego bytowania, a dróżnicza lampka umieszczona na długim jak kosa trzonku, zapala bądź gasi istnienia ludzkie, a może też wyznacza swym chybotliwym światełkiem ich kierunek. Symboliczne znaczenie mają również poszczególne sceny, do których stworzenia posłużyły szczątki wspomnień i wrażeń, kilka zaledwie rekwizytów oraz powtarzające się jak refren gesty i frazy muzyczne. Bo być może nasza pamięć jest jak winylowa płyta, uparcie powracająca do zdarzeń dawno minionych, „zacinająca” się na jednych fragmentach życia, inne nieposłusznie „przeskakująca”.

Spotkanie odbyło się 12 listopada 2006 roku, a gościny Klubowi Modrzejewskiej udzielili tym razem Joanna Klass i jej Galeria Arden2, obchodząca w tym roku 10-lecie swojej chlubnej działalności. Były więc kwiaty i gratulacje, dyplomy oraz zapewnienia o wzajemnym poparciu i współpracy. Z niecierpliwością czekamy na kolejne spektakle, które przybliżają polską sztukę teatralną nie tylko rodakom mieszkającym w Kalifornii, ale również, a może przede wszystkim przybliżają ją publiczności amerykańskiej coraz liczniej na polskie przedstawienia przybywającej.

O czym donosi,
Dorota Czajka-Olszewska









Spotkanie opłatkowe 10 grudnia 2006



Święta, święta i po świętach... Jedną z najmiłszych, polskich i rodzinnych uroczystości w okresie świątecznym było Spotkanie Opłatkowe Klubu Heleny Modrzejewskiej, które odbyło się w niedzielę 10 grudnia 2006 roku. W gościnnym domu Doroty i Witka Olszewskich w Moorpark, członkowie Klubu mieli okazję podzielić się opłatkiem z przyjaciółmi, pośpiewać kolędy, popróbować świątecznych potraw z obficie zastawionego stołu, wysłuchać wiersza o życzeniach świąteczno-noworocznych, a nawet rozszerzyć swoją wiedzę o polskich tradycjach postu i świętowania związanych z Bożym Narodzeniem. W tygodniu przed spotkaniem, Moorpark było sceną bardzo niebezpiecznych pożarów – ogień doszedł aż do bliskiego sąsiedztwa domu Państwa Olszewskich, ale na szczęście udało się uniknąć ewakuacji. Tym większy więc był powód do radości i świętowania w polskim gronie związanym wieloletnimi przyjaźniami. Goście zjawili się tłumnie, a przyjechali, jak zwykle, z bardzo daleka – ostatni dotarli na spotkanie w połowie wieczoru, po trzygodzinnym „maratonie” autostradowym z Orange County. Za taką wierność należy się wdzięczność – i ciepło rodzinnej atmosfery, w której każdy czuje się jak u siebie w domu. Serdecznie dziękujemy nowej Pani Prezes Klubu wraz z Małżonkiem za tak wspaniałe ugoszczenie tak wielkiej grupy miłośników polskiej kultury i polskich tradycji.

Ponieważ było nas tak dużo, po ulokowaniu się w rzędach krzeseł, nie udało się wieczoru opłatkowego rozpocząć od samego opłatka. Tradycyjne łamanie się opłatkiem z najlepszymi życzeniami bardzo Wesołych Świąt Bożego Narodzenia i bardzo udanego, najszczęśliwszego Nowego Roku, odbyło się po części artystycznej a przed świąteczno-wigilijną wieczerzą, przygotowaną zbiorowo przez Klubowiczów, pod opieką Krysi Okuniewskiej. Zanim jednak mogliśmy zaspokoić swoje apetyty (niektórzy panowie już od wejścia zastanawiali się „a gdzie jest bigosik?”), Gospodyni przedstawiła nam ucztę innego rodzaju; ucztę artystyczną i muzyczną.

Już samo zaproszenie na bożonarodzeniowy wieczór wskazywało, że będziemy mieć okazję cieszyć się muzyką i poezją, cieszyć się Dzieckiem – nie tylko tym „maluśkim, maluśkim” z góralskiej kolędy – ale i nieco starszym. Największą atrakcją programu była inscenizacja wiersza Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego „Trąbki świątecznej poczty”, recytowanego przez jedenastoletniego Jakuba Chyłę i samą Gospodynię, Dorotę Czajkę-Olszewską, w stosownych kostiumach. Młody Kuba (który jest uczniem Pani Doroty w Polskiej Szkole w Los Angeles) zaprezentował zebranym swoją pełną energii interpretację wesołego listonosza, radośnie wołającego w zimową przestrzeń „Poczta, poczta...!”. W mundurku ze złotymi guzami i stosownej czapce oraz niesamowicie kolorowym szaliku i rękawiczkach, młody listonosz rozrzucał listy z życzeniami, deklamując z wielkim zapałem i trzeba przyznać, talentem aktorskim, długi wiersz przypominający obecnym, że czas na pisanie świątecznych kartek. Niektórzy i tak zabrali się do tego zadania już po świętach, ale liczy się dobra intencja, czyż nie?

W przedstawieniu wiersza „drugie skrzypce” grała Pani Prezes – w jednym ze swoich wcieleń nauczycielka Polskiej Szkoły. Przebrana w gruby sweter rodem z PRL-u, w urzędniczych zaręczawkach i „wyrzystych” okularach pamiętających też same czasy, stała się Panią z (pocztowego) Okienka, stemplującą listy dla listonosza, a później Królową Śniegu, posypującą młodego, wesołego listonosza garściami sztucznego, błyszczącego śniegu. Ów zabawny gest przypomniał emigranckiej publiczności dawne polskie zawieje i zasy, z którymi musieliśmy kiedyś walczyć w drodze na Pasterkę. Dla nas, kalifornijczyków, zaśnieżone święta to tylko odległe wspomnienia.

Bowiem, jak powiadomiło nas zaproszenie na Spotkanie Oplatkowe, “Groźnej syberyjskiej zimy, nie uświadczy się tu krzyny... Cóż, tu zima się nie zdarza. Za to słońce, palmy, plaża...”. No i, oczywiście, Hollywood... Nasz czarujący recytator, nagrodzony owacją Jakub Chyła, ma już wiele osiągnięć w dziedzinie “szołbiznesu” – wziął udział w nagraniu słuchowiska radiowego “Every Now and Then Theatre”, w czterech przedstawieniach The Conejo Players Theatre, oraz w Moorpark High Street Theater. Oprócz prezencji scenicznej i talentów recytatorskich, Kuba podzielił się z nami później swoimi talentami muzycznymi. Uprzejmniał gościom wieczór grając wybór świątecznych melodii na elektronicznej klawiaturze (która w tak wielu domach zastępuje tradycyjny fortepian czy pianino). Klawiatura ta posłużyła też pianistce, akompaniującej Klubowiczom, zaopatrzoną w śpiewniki, w grupowym śpiewaniu kolęd. Pani Ewa Telega ukończyła Akademię Muzyczną w Łodzi oraz otrzymała magisterium w University of California w Irvine. Jest obecnie pracownikiem naukowym California State University w Los Angeles, ponadto koncertuje w Polsce i USA oraz udziela prywatnych lekcji jako członek Music Teacher Association of California.

Lekcję dla członków Klubu przygotowała natomiast nasza wspanią Gospodyni. Bardzo szybko przeistoczyła się z urzędniczki pocztowej w elegancką damę czarującą swych gości ciekawostkami historyczno-obyczajowymi z dawnej Polski. Opowiadanie o poście było jednak dość przerażające – kary za złamanie postu były niegdyś bardzo surowe, fizyczne, włącznie z wybijaniem zębów. (Ponieważ niedawno spadłszy ze schodów sama sobie mało zębów nie wybiłam, odczułam wyobrażenie tej kary bardzo osobiście). Na szczęście dla nas, stare zwyczaje pokutne odeszły w przeszłość, a pozostały bardzo żywe zwyczaje świątecznych posiłków. W tej dziedzinie, nie można mieć Klubowi Kultury Modrzejewskiej nic do zarzucenia, od wigilijnych ryb, grzybów, barszczu, śledzi i makowców, po bożonarodzeniowe bigosy, pierogi i torty – stół świąteczny był zastawiony obficie. Bufet obejmował też potrawy bardziej kalifornijskie – wędzone łososie oraz krewetki w kilku wariantach, włącznie z oryginalną formą różowej galaretki! W ogrodzie domu można było się napić wina, kawy, żubrówki, a nawet staropolskiego miodu... Moje świąteczne sprawozdanie zakończę więc parafrazą słów wieszczki Adama Mickiewicza: “I ja tam z gośćmi byłam, miód i wino piłam, a com widziała i słyszała w księdze zapisałam”.

Dziękując Gospodarzom składam im oraz wszystkim obecnym i nieobecnym członkom Klubu najserdeczniejsze życzenia „Do siego Roku!”.

Maja Trochimczyk













Spotkania Klubu Kultury im. Heleny Modrzejewskiej

w latach

2007 - 2008

Dorota Czajka-Olszewska – Prezes; Krystyna Kuszta – Wiceprezes; Elżbieta Kański – Sekretarz;
Danuta Żuchowska – Skarbnik; Członkowie Zarządu – Krystyna Okuniewska, Lilianna Moradi,
Jacek Roszkowski, Sławek Brzeziński



Koncert charytatywny z recitalem Ewy Błaszczyk „Nawet gdy wichura” 11 lutego 2007



Przypadło mi w zaszczyt napisać sprawozdania ze spotkania klubowego, które odbyło się w szczególnym miejscu i z wyjątkową osobą - Panią Ewą Błaszczyk. Szczególne miejsce, bo to sala kinowa jednej z największych i bardzo znanych uczelni, Uniwersytetu Kalifornijskiego w Los Angeles, który szczytują laureatami Nagrody Nobla, a także wybitnymi osobami teatru, filmu i telewizji związanymi z tą uczelnią, jak np. Carroll Burnett, Francis Ford Coppola, James Dean, Mark Harmon i cała plejada innych.

Pamiętam moment otrzymania zaproszenia na recital Ewy Błaszczyk i byłem w pierwszym momencie zaskoczony szerokim opisem twórczości Pani Ewy, jak również dodatkami drugiej strony informującej o Fundacji „Akogo?”. W historii naszego Klubu mieliśmy setki różnych gości z Polski - piosenkarzy, aktorów teatralnych i filmowych, profesorów, muzyków, ale nikt nie wydawał mi się tak ciekawą osobą jak Pani Ewa, która już z opisu na zaproszeniu jawiła się nie tylko inna jako kobieta, ale również jako aktorka i piosenkarka. Ewa Błaszczyk jest osobą zaangażowaną w życie społeczne, do czego zainspirowały ją dramatyczne doświadczenia osobiste. Za swoją pracę społeczną artystka otrzymała wiele nagród: „Trudny temat do zgryzienia” - nagrodę przyznaną przez radiową „Jedynkę” ludziom podejmującym ponadprzeciętną, trudną działalność na rzecz poważnie chorych (2006), Medal Św. Alberta za działalność

charytatywną na rzecz osób niepełnosprawnych (2006), „Kryształowe zwierciadło” (2006), Nagrodę Roku za Działalność Humanitarną „Optimus Hominum” (2006), Nagrodę Toruński Anioł (2006) oraz Nagrodę Fundacji Polcul (2006).

Fundacja „Akogo?” (www.akogo.pl) powstała dwa lata po tragicznym wypadku, któremu uległa Ola, córka Ewy Błaszczyk i znanego satyryka i scenarzysty Jacka Janczarskiego. Sześcioletnia Ola przy połykaniu tabletki zakrztusiła się, doszło do niedotlenienia mózgu, od tego czasu dziewczynka pogrążona jest w śpiączce. Współzałożycielem Fundacji jest ksiądz Wojtek Drozdowicz, twórca „Ziarna” dla TV, obecnie proboszcz Pokamedulskiego Kościoła przy Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Lesie Bielańskim.

Najwyraźniej moją opinię i moją ciekawość poznania Pani Ewy podzielali nasi rodacy z okolic Los Angeles - mimo, że spotkanie miało miejsce w niedzielę o godz.17:00, sala obliczona na 280 osób była pełna, w tym połowa to członkowie naszego Klubu, a połowa rodacy, którzy chcieli spotkać i usłyszeć Panią Ewę Błaszczyk.

Spotkanie, jak zawsze, otworzyła nasza Pani Prezes Dorota Olszewska, znana państwu ze swojego ciepła, zaangażowania społecznego i zainteresowania ludźmi i światem, która zresztą, wiem z prywatnych źródeł, przywiozła Panią Ewę z San Diego, później odwiozła na lotnisko, a w międzyczasie opiekowała się artystyczną grupką, w skład której także wchodziła dyrektor Fundacji Pani Anna Krzysztofowicz. Wszyscy zdążyli się poznać, polubić i zrozumieć, i żałuję, że mnie tam nie było. Klub Modrzejewskiej zorganizował również dla naszych gości wizytę w Rancho Los Amigos Hospital, w którym znajduje się oddział rehabilitacji pacjentów po urazach mózgu. Pani Ewa zbiera wszelkie informacje, które mogą okazać się pomocne w budowaniu i prowadzeniu właśnie powstającej Kliniki „Budzik” przy Centrum Zdrowia Dziecka w Warszawie.

Rozpoczął się koncert mądrze zatytułowany „Nawet gdy wichura”, co jak sądzę, ma dużo wspólnego z przeżyciami Pani Ewy. Recital otworzył krótki filmik informujący o chorobach neurologicznych, szczególnie dziecięcych oraz o ich przyczynach, a także o potencjalnych zmianach systemu pomocy dla poszkodowanych dzieci i ich rodziców. Po czym na scenę wyszła Pani Ewa. W długiej wieczorowej sukni, której kolor jako mężczyźni trudno mi opisać, ale było to coś co wpadało w czerwień, w długich rękawiczkach o kolorze podobnym do koloru sukni, krótko ostrzyżona, co jest dla niej bardzo charakterystyczne. Twarz Ewy Błaszczyk, jej oczy i to właśnie uczesanie łatwo się zapamiętuje. Tuż za artystką podążali pan Andrzej „e-moll” Kowalczyk, autor tekstów, kompozytor, aranżer, uczestnik wielu festiwali, twórca siedmiu albumów autorskich, oraz jej córka, dwunastoletnia Marianna Janczarska, która kontynuuje tradycje rodzinne śpiewając, tańcząc, grając na pianinie i gitarze oraz tworząc własne teksty poetyckie.

Pani Ewa była wspaniała! Mimo tego, że nie spała przez dwie poprzednie noce przed naszym koncertem, jej głos brzmiał mocno, dźwięcznie. Śpiewane przez nią piosenki to znane utwory ze znakomitymi tekstami Osieckiej, Czupkiewicz, Jasnorzewskiej, Kleyffa z muzyką Satanowskiego, Koniecznego i Iwanowej. W kilku piosenkach ze swą słynną mamą wystąpiła Mania Janczarska. Akompaniament Andrzeja Kowalczyka na gitarze był doskonały. System nagłaśniania sprawował się bardzo dobrze. Jako amator dobrej piosenki i dobrego wykonania byłem zachwycony recitalem. Również sala reagowała głośnymi oklaskami i wreszcie prośbami o bisy.

Po recitalu, jak zawsze, członkowie klubu przynieśli, a Zarząd przygotował (i też dostarczył), ciasteczka, sery oraz wina czerwone i białe, a Pani Ewa była obłożona przez naszych rodaków w poszukiwaniu rozmowy, odpowiedzi na nurtujące pytania lub z prośbami o autografy, najczęściej na jej albumach z CD, które sprzedawano przy drzwiach wyjściowych. Pisząc powyższe sprawozdanie mam przed sobą jej uśmiechniętą twarz i śmiejące się oczy z albumów „Nerwica w granicach normy” i „Nie żałuję”. Był to wspaniały recital, za który dziękuję w imieniu Klubu Pani Ewie, a Zarządowi naszego Klubu za organizację tego spotkania. Jeszcze jedno - dochód z koncertu przeznaczony został na Fundację „Akogo?”.

Tu muszę dodać prywatną notkę. Po tym jak większość państwa odstąpiła od Pani Ewy po długo składanych gratulacjach, a sama artystka w końcu miała okazję odsapnąć przez minutkę, udało mi się przeprowadzić z nią króciutką rozmowę. Byłem ciekaw piosenkarki i kobiety, chciałem poznać ją bliżej, i spotkałem mądrą, doświadczoną życiem kobietę, która ma tyle zapału i radości życia w sobie, że jest to nie do uwierzenia. Pomimo zmęczenia, myślała i mówiła jak doświadczony biznesmen z dużym stażem - ta kobieta wie czego chce i dokąd zmierza i jestem absolutnie pewien, że swoje plany zrealizuje. Pani Ewa była tak zajmująca, że nie chciało mi się odchodzić. Mógłbym jeszcze długo z nią rozmawiać i mam nadzieję, że artystkę ponownie i to wkrótce zobaczymy. Życzymy jej i jej córkom wszystkiego najlepszego.

Włodzimierz Złotnicki

Zarząd Klubu Modrzejewskiej składa serdeczne podziękowania tym wszystkim, którzy wzięli udział w koncercie charytatywnym oraz instytucjom i osobom prywatnym, które złożyły dodatkowe donacje na budowę Kliniki „Budzik” dla dzieci po ciężkich urazach mózgu.











**Koncert jazzowy:
Krzysztof Dębski,
Darek Oleszkiewicz
i Darryl „Munungo” Jackson
17 marca 2007**

W pewnych, przełomowych chwilach życia zadajemy sobie egzystencjalne pytania, zastanawiając się nad tym „Jak żyć?”, „Jak żyć bez miłości?”, „Jak żyć bez muzyki?”, „Jak żyć bez Krzesimira Dębskiego?”

To ostatnie pytanie zadawało sobie późnym wieczorem w sobotę 17 marca 2007 wielu uczestników spotkania z Krzesimirem Dębskim, skrzypkiem jazzowym, kompozytorem muzyki filmowej, jazzowej, telewizyjnej i współczesnej, muzykiem „extraordinaire”. Oczarowani inteligencją i dowcipem artysty, słuchacze zachwyceni byli najbardziej jego muzykalnością i talentem improwizacyjnym, przepięknie ukazany w serii interpretacji polskich i amerykańskich standardów jazzowych. Jazz na skrzypcach elektrycznych można grać solo, ale razem przyjemniej – podczas wieczoru w salonie gościnnych państwa Joanny i Andrzeja Maleskich Dębski pojawił się w towarzystwie dwóch jazzmanów światowej klasy, basisty Darka Oleszkiewicza (dobrze znanego z wielu fascynujących koncertów dla klubowiczów) oraz oryginalnego perkusisty Darryla „Munungo” Jacksona.

Już na początku wieczoru gwiazda programu przejęła konferansjerkę, zapowiadając każdy jazzowy temat jego krótką historią. Koncert rozpoczął się na poważnie, w 30 rocznicę śmierci Zbigniewa Seiferta, jego tematem „Quo Vadis”. Interpretacja poświęcona była pamięci zapoznanego dziś jazzmana, który zmarł na atak serca w wieku 32 lat (1946-1979) a wsławił się jako pierwszy radykalny skrzypek jazzowy w Polsce. Zainspirowany muzyką Johna Coltrane, od 1970 roku Seifert grał z kwintetem Tomasza Stańki, koncertował i nagrywał oryginalne interpretacje standardów i własnych tematów.

W „Quo Vadis” w wersji Dębskiego, wolny, refleksyjny temat skrzypiec poprzedziły nasycone emocją dialogi z basistą, rozjaśnione delikatnym akompaniamentem perkusji (poszum cymbałów, szczotek na bębnie, pobrzękiwania dzwonek).

„Cantabile” Krzesimira Dębskiego było drugim elementem w programie. Tutaj skrzypek pokazał swoją liryczną skalę – szeroko rozpięte melodie, ekspresywne ornamenty, rosnący łuk intensywności wyrazu. Przed utworem kompozytor przypomniał publiczności, że ma doświadczenia z bardzo wieloma rodzajami muzyki, od reklamy do piosenki i do partytury filmowej czy symfonicznej, ale sercem zawsze blisko jest jazzu. „Cantabile” miało już ogromną liczbę różnych instrumentalnych, wokalnych i tańczonych wersji.

Jazzowy temat „Cantabile” jest świadectwem początku drogi twórczej Dębskiego. Po ukończeniu studiów kompozycji w Poznańskiej Akademii Muzycznej Dębski został liderem grupy jazzowej String Connection, która koncertowała w Europie i Ameryce i otrzymywała nagrody na konkursach w Belgii i Polsce. W 1985 roku Dębski znalazł się na liście dziesięciu najlepszych skrzypków jazzowych świata, ogłoszonej przez pismo „Down Beat”. Choć od wielu lat Dębski zajmuje się głównie kompozycją muzyki współczesnej i filmowej, nie zostawił skrzypiec. Mimo nawału zajęć i ciągłych podróży, nie utracił wirtuozerii technicznej i wyobraźni twórczej, skupionej na ukazaniu różnorodności brzmieniowej i ekspresyjnej elektrycznych skrzypiec. Instrument wygląda dość niezwykle - jest ograniczony do szkieletu w kształcie tradycyjnych skrzypiec, ale bez pudła rezonansowego, zastąpionego mikrofonem i wzmacniaczem.

Po polskim wstępie przyszedł czas na jazz amerykański, słynny standard „Kind of Blue” Milesa Davisa, tak ograny na antenie radia, że aż nudny, objawił się w wykonaniu trzech mistrzów jako prawdziwa perła literatury jazzowej. Muzycy zmienili nieco szczegóły rytmiczne, pozwolili sobie na daleko idące improwizacje ukazujące mistrzostwo trzech solistów. Oleszkiewicz zadziwił wirtuozerią kontrabasę, który pod jego smyczkiem i palcami ukazał zadziwiająco obszerną skalę dźwiękowego wyrazu. Munnyungo ("moon"- "young" "go") Jackson zagrał samymi rękami, wydobywając rytmiczne motywy z szurania dłonią o dłoń, czy klepania prostokątnego drewnianego pudła, na którym siedział. Jak wytłumaczył publiczności po zakończeniu koncertu, niezwykle prosty ów instrument, pochodzenia karaibskiego, składa się z membrany naciągniętej na drewnianą ramę – a wygląda jak „opakowanie” głośnika bez części elektrycznej. Muzyk gra na tym instrumencie poprzez przesuwanie palców po membranie, stukanie w różnych jej miejscach, modyfikując tym samym wysokość dźwięku.

Krzesimir Dębski zaproponował kolegom następny temat własnego autorstwa "We Miss You" – w którym zadziwił jego dialog czy „pojedynek” na dźwięki z perkusistą, tym razem grającym na congas. Owe wysokie, wąskie bębny umożliwiają ukazanie całej gamy efektów dźwiękowych, włącznie z efektownymi glisandami (mokrymi palcami) i konturami melodii. Tak się w ten muzyczny pojedynek zaangażowali, że po serii dialogów instrumentalnych, krótkich motywach na skrzypcach czy congas, Dębski i Jackson zaczęli śpiewać stukając po instrumentach czy po własnym policzku (efekt "butelki"), a publiczność zachwycona zabawą, co rusz przerywała im brawami. Słuchając tego właśnie utworu można się było przekonać jak unikalną okazją był marcowy koncert: spotkanie mistrzów takiej klasy, że umieją się własnym improwizowaniem świetnie bawić, oczarowując przy tym publiczność. Nasycony wirtuozerią pomysłowości i elektryczną intensywnością wyrazu dialog był tym żywszy, że Dębski i Jackson grali ze sobą po raz pierwszy. Było to dla nich wzajemne poznawanie swoich możliwości i muzyczną, bezsłowną rozmową: „ – Ja umiem zagrać tak – Pokaż, czy potrafisz – A teraz zagraj ten rytm – Czemu nie, nawet ciekawiej – Ale wysokiego motywu na pewno nie będziesz umiał zaimitować...” I tak dalej, i coraz weselej...

Zawodowi muzycy nie byłoby sobą, gdyby przy okazji występu na żywo nie przypomnieli słuchaczom o swych nagraniach. Tutaj rolę prowadzącego spotkanie przypadła Darkowi Oleszkiewiczowi, którego CD wraz z Munyungo i gitarzystą Larry Koonse, było dostępne dla klubowej publiczności. "Iron Song" okazał się żywy, gęsty harmonicznym, nasycony akcją muzyczną, harmonią i kolorami dźwięków, włącznie z różnorodnymi grzechotkami i ze sporej wielkości widowiskową dynią („shakere” albo „chekere”). Ten afrykański instrument składa się z wysuszonej, pustej dyni oplecionej siatką z paciorkami. Stukot paciorków wzmocniony w rezonansie pustego naczynia, jest najważniejszym dźwiękiem wydobywanym z tego instrumentu, którym można podrzucać, stukać, trząść czy nim nawet żonglować przy użyciu rąk i nóg – jak w cyrkowym niemalże popisie na bis pokazał nam perkusista.

Oficjalne "encore" programu stanowił słynny temat kołysanki z filmu Romana Polańskiego "Rosemary's Baby" skomponowany przez następnego młodo zmarłego polskiego muzyka jazzowego – Krzysztofa Komedę (1931-1969). Po zabawie w poprzednich utworach, wyciszony temat kołysanki uspokoił rozbawioną publiczność.

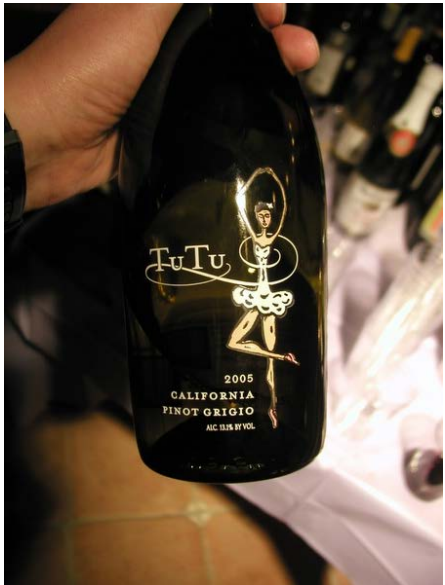
Po zakończeniu wspólnego muzykowania, miałam przyjemność zadać artystom kilka pytań, aby w plakatowym formacie ukazać ich osiągnięcia i zainteresowania publiczności. Munyungo Jackson, ekspert egzotycznej perkusji, jest dyrektorem muzycznym Drum Festival w Watts Towers Art Center w południowym Los Angeles. Darek Oleszkiewicz, oprócz koncertowania i nagrywania CD z wieloma światowej sławy muzykami, prowadzi też zajęcia dydaktyczne jako profesor w California Institute of the Arts i Uniwersytecie Kalifornijskim w Irvine. Sam Dębski uraczył członków klubu wieloma anegdotami z niezwykle bogatego życia muzycznego, włącznie z grą ze złamanym palcem w duecie z Nigelem Kennedy, czy scenkami obyczajowymi z szerokiego świata. Wypytywany o muzykę filmową, wspomni o nagrodzonych filmach („Ogniem i mieczem”, „W pustyni i w puszczy”) i o interesującym projekcie związanym z Charlie Chaplinem, ale wyraźnie chciał skierować uwagę słuchaczy na swoją stronę „poważną” – podkreślając obszerny dorobek jako kompozytor ponad pięćdziesięciu utworów symfonicznych i kameralnych, wielokrotnie wykonywanych na polskich i europejskich scenach koncertowych.

W związku z tą uwagą, przypomniałam wszystkim obecnym, że rękopis jednego z tych utworów, („Koncert podwójny na skrzypce, altówkę i orkiestrę”) już znalazł się w Los Angeles w kolekcji polskich rękopisów muzycznych, którą budowałam w latach 2000-2003 w Uniwersytecie Południowej Kalifornii, obok dzieł Lutosławskiego, Pendereckiego, Bacewicz i innych znakomitości muzyki polskiej. Nawet i polskim zbiorom w USC nie udało się zaistnieć „bez Krzesimira Dębskiego” - a cóż mamy zrobić my, zachwyceni jego talentem słuchacze?

Maja Trochimczyk







Spotkanie z Pierwszą Damą Rzeczypospolitej Polskiej Marią Kaczyńską 29 kwietnia 2007



W niedzielę 29 kwietnia 2007 roku Klub został zaszczycony wizytą Pani Marii Kaczyńskiej, Pierwszej Damy Rzeczypospolitej Polskiej, która przebywała w Los Angeles w związku z ósmym już z kolei, Polskim Festiwalem Filmowym, nad którym objęła w tym roku patronat. Spotkanie odbyło się w pięknej i przyjaznej rezydencji Państwa Heleny i Stanley'a Kołodziej i było prowadzone przez Andrzeja Maleskiego. Konsulat reprezentowała Pani Krystyna Tokarska-Biernacik, Konsul Generalny w Los Angeles, oraz Konsul Paulina Kapuścińska. W spotkaniu wzięła również udział Pani Ambasadorowa Hanna Reiter.

Maria Kaczyńska, z domu Mackiewicz, żona prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego, z wykształcenia jest ekonomistką. Jej rodzina po II wojnie światowej została repatriowana z Wilna. Ojciec walczył w wileńskiej Armii Krajowej, jeden z jego braci w szeregach II Korpusu generała Władysława Andersa pod Monte Cassino. Drugi brat został zamordowany przez NKWD w Katyniu. Po ukończeniu studiów Maria Kaczyńska podjęła pracę w Instytucie Morskim w Gdańsku w pracowni badań koniunkturalnych, gdzie przeprowadzała badania perspektyw rozwoju rynków frachtowych na Dalekim Wschodzie. Zna angielski, francuski, hiszpański i rosyjski. Jako Pierwsza Dama podjęła działania wspierające działalność charytatywną. Objęła patronat nad wieloma akcjami dobroczynnymi (m.in. galą charytatywną z okazji 60-lecia Funduszu Narodów Zjednoczonych na Rzecz Dzieci UNICEF, Fundacją „Życ z chorobą Parkinsona” i Stowarzyszeniem Pomocy Dzieciom „Gniazdo”). Jej interwencje pomogły, gdy chciano zlikwidować szpital dziecięcy w Rabce oraz wtedy, gdy z domu należącego do fundacji Sue Ryder zamierzano wyrzucić tamtejsze niepełnosprawne pensjonariuszki. W 2006 roku Pani Maria Kaczyńska otrzymała tytuł i statuetkę „Człowiek Otwartego Serca”, która przyznawana jest przez Kapitułę Stowarzyszenia Osób i Dzieci Niepełnosprawnych „Pomocna Dłoń”.

Na spotkanie przybyli tłumnie członkowie Klubu im. Modrzejewskiej, ich goście oraz goście festiwalowi. Zajęli niemalże każdy dostępny kawałekek obszernej przecież rezydencji i przylegającego doń ogrodu. Z niecierpliwością oczekiwali przybycia Pierwszej Damy, która na salę wkroczyła przy taktach piosenki Bułata Okudźawy, ulubionego kompozytora prezydenckiej pary, oraz burzy oklasków.

Nieklamany i żywiołowy entuzjazm wzbudziła wśród zebranych informacja, że Pani Maria Kaczyńska przyjęła propozycję przewodniczenia Honorowemu Komitetowi Budowy Pomnika Ignacego Jana Paderewskiego na terenie Uniwersytetu Południowej Kalifornii w Los Angeles.

Podczas spotkania, Pierwsza Dama wspomniała o planach założenia w Los Angeles ośrodka kultury polskiej wspieranego przez władze tego miasta. Nadmieniła, że rozmawiała z burmistrzem Los Angeles, Antonio Villaraigosa, który przychylnie odniósł się do pomysłu powstania takiego ośrodka. Nawiązując do instytucji miast siostrzanych, Pani Kaczyńska zamierza zaproponować, aby Łódź stała się miastem siostrzanym dla Los Angeles. Oba miasta są bowiem stolicami kinematografii w swoich krajach.

„Łódź bardzo pasuje do tej roli, gdyż ma aleję gwiazd, wytwórnię filmów i szkołę filmową. Tu powstały wielkie filmy, jak Ziemia Obiecana. W Łodzi też, podobnie jak w Los Angeles, jest silny przemysł tekstylny. Idea ich współpracy jako miast siostrzanych bardzo zainteresowała władze L.A. i trzeba teraz doprowadzić w Polsce do tego, aby tę współpracę nawiązać.”

Gości spotkania z Panią Prezydentową interesowało między innymi czy czynione są postępy w zmianie prawa adopcyjnego w Polsce, bowiem Maria Kaczyńska i w tej materii wielokrotnie się wypowiadała. Pierwsza Dama uważa, że prawo adopcyjne w Polsce powinno zmienić się na tyle, aby dzieci mogły jak najszybciej trafiać do rodzin zastępczych bez zbędnego i bardzo szkodliwego długiego przebywania w placówkach wychowawczych. Szefowa Protokołu Dyplomatycznego Pani Izabela Tomaszewska zapewniła zgromadzonych, że prace nad zmianami trwają, wymagają jednakże wielu zabiegów oraz czasu.

Jedna z uczestniczek spotkania podziękowała serdecznie Pani Prezydentowej za wzięcie udziału we wciąż pełnej emocji i kontrowersyjnej dyskusji na temat losów Doliny Rospudy i opowiedzeniem się za ochroną tego unikalnego zakątka przyrody. Dolina Rospudy to jeden z najcenniejszych obszarów torfowiskowych, o naturalnych, nie naruszonych stosunkach wodnych i jest objęta ochroną ze względu na występowanie niezwykle rzadkich gatunków roślin i zwierząt.

Jako że spotkanie odbywało się pod „sztandarami” festiwalowymi, nie zabrakło więc i innych znakomitych gości: Władka Juszkiewicz - organizatora Polskiego Festiwalu Filmowego, Pani Ewy Czeszejko-Sochackiej, członkini wielu polskich oraz międzynarodowych organizacji promujących polską kulturę, oraz Anny Ferens i Jacka Bromskiego, którzy opowiedzieli o swych najnowszych artystycznych projektach.

Anna Ferens, scenarzystka, producent i reżyser, ukończyła dziennikarstwo i nauki polityczne na Uniwersytecie Warszawskim. Na jej filmografię składają się między innymi: „Życie pośmiertne Adama Mickiewicza”, „Moskwa według Saszy”, „Gdzie Bóg rozumie po polsku”, „Czuły dotyk”, „Zapoznam panią”, „Żydzi w Powstaniu Warszawskim” (wyróżniony na Międzynarodowych Dniach Filmu Dokumentalnego w Lublinie i prezentowany na tegorocznym Jewish Film Festival w Los Angeles) oraz „Gdzie rosną poziomki?”, dokument o nowoodkrytych grobach Polaków zamordowanych przez NKWD na terenie Ukrainy.

Jacek Bromski jest reżyserem, producentem oraz prezesem Stowarzyszenia Filmowców Polskich. Kieruje także studiem filmowym „Zebra”. Jest nagradzany na wielu festiwalach twórcą komedii. Wyreżyserował między innymi filmy: „Sztuka kochania”, „Kuchnia Polska”, „1968. Szczęśliwego Nowego Roku”, „To ja, złodziej”, „Kariera Nikosia Dyzmy” i „Kochankowie Roku Tygrysa”. Jako producent filmowy zastąpił z takich filmów jak: „Historie miłosne” i „Kiler”.

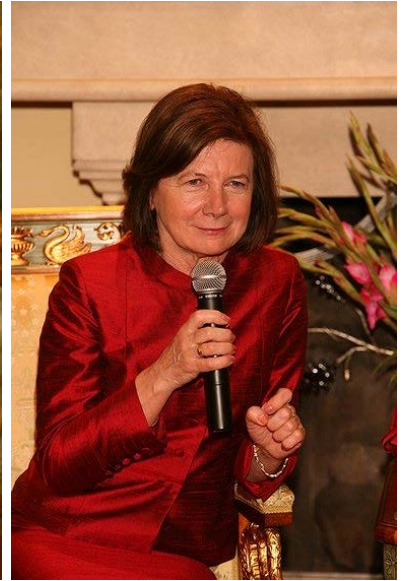
Po części oficjalnej spotkania był czas na prywatne rozmowy z Pierwszą Damą Rzeczypospolitej Polskiej. A że takie okazje nie zdarzają się znów tak często, więc światła w eleganckiej rezydencji Państwa Kołodziej długo nie gaśły.

Elżbieta Kańska
Dorota Olszewska

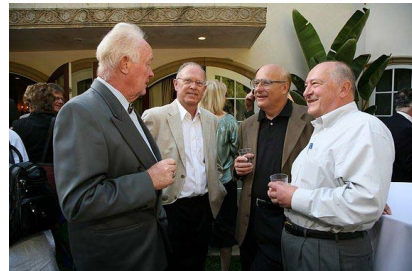
















**Spektakl teatralny „Pierwsza młodość”
w wykonaniu
Anny Seniuk i Zofii Saretok
27 maja 2007**

O tym, że na spełnienie marzeń, na nowe przyjaźnie i odmiany życiowe nigdy nie jest za późno przekonywały nas 27 maja 2007 roku bohaterki sztuki „Pierwsza młodość” w reżyserii Bogdana Augustyniaka. Autorem sztuki jest francuski dziennikarz i powieściopisarz Christian Giudicelli, a sama

sztuka była przebojem teatralnym Paryża przełomu lat 80 i 90. Zasluga w tym niewątpliwa kreacji aktorskiej gwiazdy francuskiego kina Annie Girardot. W wersji polskiej przedstawienia zagrały dwie znakomite aktorki przybyłe do Kalifornii na specjalne zaproszenie Klubu Modrzejewskiej: Anna Seniuk i Zofia Saretok.

Anna Seniuk, absolwentka PWST w Krakowie, jest jedną z najznamienitszych i najbardziej zapracowanych polskich aktorek: występuje w filmie, teatrze, radiu i telewizji oraz wyklada w warszawskiej Akademii Teatralnej. Jest laureatką niezliczonych nagród przyznawanych zarówno przez publiczność jak i przez profesjonalne gremia. Debiutowała w Teatrze Starym im. Heleny Modrzejewskiej w Krakowie. Pracowała z warszawskimi zespołami Teatru Ateneum, Teatru Powszechnego, Teatru Polskiego i Teatru Na Woli, a od roku 2003 związana jest z Teatrem Narodowym. W cieszącym się olbrzymią popularnością serialu telewizyjnym „Czterdziestolatek” i „Czterdziestolatek 20 lat później” stworzyła niezapomnianą kreację sympatycznej Madzi Karwowskiej.

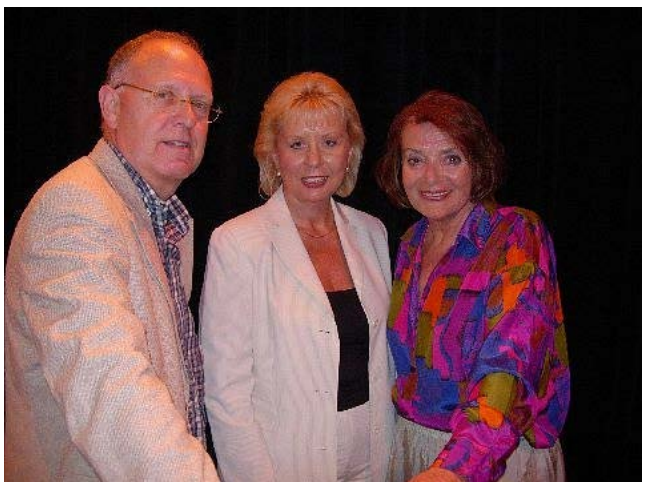
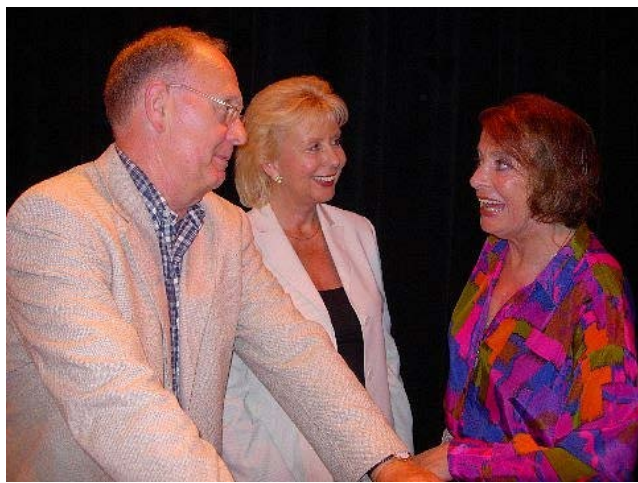
Zofia Saretok jeszcze jako studentka PWSTiF w Łodzi zadebiutowała rolą Hanki w filmie „Café pod Minogą”. Po ukończeniu studiów została zaangażowana do Teatru Współczesnego w Warszawie, w którym pracuje do dziś. Zagrała dziesiątki ról w teatrze, filmie i telewizji. Dzięki znakomitym warunkom zewnętrznym obsadzana była często w rolach pięknych dziewcząt i kobiet. Artystka z powodzeniem działa również na polu literackim: przetłumaczyła i zagrała „Lizystratę” Arystofanesa, jest autorką i reżyserką literackich audycji radiowych.

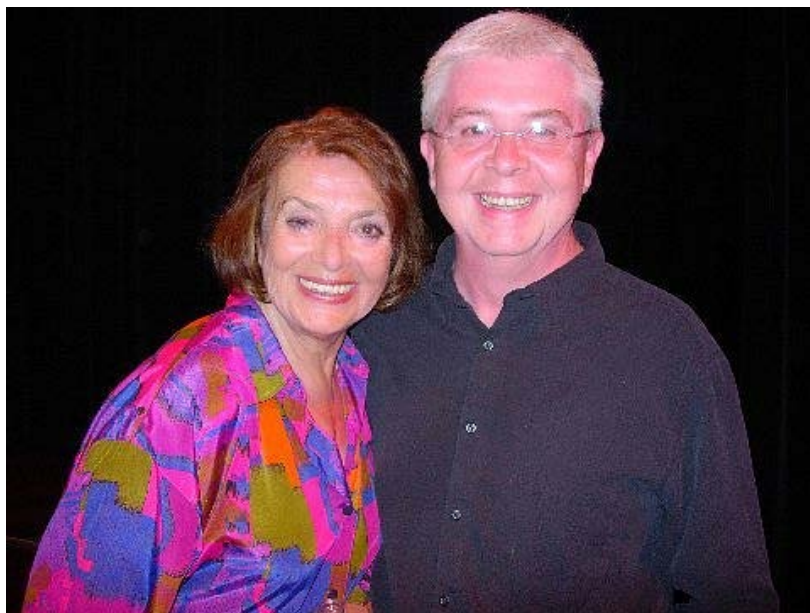
Nad kształtem technicznym przedstawienia czuwał nasz niezastąpiony kolega klubowy Sławek Brzeziński, który po raz kolejny z poświęceniem (albowiem w kabinie obsługi technicznej przez całe przedstawienie był zamknięty) i profesjonalizmem „kierował” światłem i dźwiękiem, a zadanie to było nie lada, ponieważ spektakl obfitował w najróżniejsze sceny, więc „wejść” z dźwiękiem i światłem było aż kilkadziesiąt. Sławkowi pomagała żona Małgosia Brzezińska. Prosta, umowna scenografia, o którą zadbała nasza klubowa scenografka Krysia Okuniewska, udawała po kolei a to salę, na której odbywa się bal maturalny, a to mieszkania głównych bohaterek, a to szosę, przy której stoją dwie świeżo zaprzyjaźnione autostopowiczki, a to gwarne ulice paryskie, hotel, a w końcu lotnisko i samolot.

Publiczność, która szczerze (bo trzeba było dostawić dodatkowe rzędy krzeseł) wypełniła salę zaprzyjaźnionego teatru „Magicopolis”, z uwagą śledziła perypetie dwóch bardzo dojrzałych pań o krańcowo różnych osobowościach i żywiołowo reagowała na pełen zabawnych sytuacji spektakl i świetną grę aktorek. A w całej historii nie sama przygoda była najważniejsza, ale fakt, że obok jest ktoś z kim przygodę można przeżywać, ktoś akceptujący mimo zupełnej odmienności, ktoś przy kim można być szczerym w swoich zachowaniach i kto wreszcie pozwala na ujawnienie nie odkrytych dotychczas pokładów osobowości. To nic, że jedna z bohaterek potrafi dosadnie opisać rzeczywistość, a druga, sztywna z pozoru, uważa na każde słowo i gest. Odmienny styl bycia bohaterek, a także zupełnie różne doświadczenia, są źródłem nie tylko humoru. Przyjaźń dwóch starszych kobiet jest dowodem na to, że mimo tych odmiennych „okryć” jesteśmy tacy sami, że dotyka nas samotność bez względu na sytuację życiową i wykształcenie i że marzenia tylko wtedy mają smak, jeżeli możemy się nimi z kimś podzielić.

O czym donosi
Dorota Czajka-Olszewska







**Pan Marcin Henzel - żołnierz
1 Samodzielnej Brygady Spadochronowej
16 czerwca 2007**

Bohater w dzisiejszych czasach kojarzy się najczęściej z postacią ratującego ludzkość walecznego cyborga rodem z hollywoodzkich produkcji. Rzadko kto pamięta i wie, że prawdziwi bohaterowie z krwi i kości żyją wśród nas, a tu w dalekiej Kalifornii znaleźli się bohaterowie, którzy zostali wyrzuceni poza nawias powojennej Polski za walkę po „niewłaściwej” stronie. W niezwykłym spotkaniu z jednym z takich bohaterów członkowie Klubu Modrzejewskiej mieli sposobność wziąć udział 16 czerwca 2007 roku w pięknej i przyjaznej rezydencji Moniki i Davida Lehman. Gościem spotkania był Pan Marcin Henzel, obrońca Lwowa, ranny 15 września 1939 roku. Aresztowany przez NKWD spędził rok przy budowie linii kolejowej koło Archangielska. Walczył jako żołnierz 1 Samodzielnej Brygady Spadochronowej, w której pełnił służbę obserwatora dowódcy plutonu moździerza w wielkiej bitwie pod Arnhem.

Próbie ogarnięcia przebiegu dziewięciodniowej operacji Market Garden podjęli twórcy filmu „O jeden most za daleko”, opartego na 600-stronicowej książce Corneliusa Ryana. Rolę generała Sosabowskiego zagrał w filmie znakomity Gene Hackman. Historia brytyjskiej 1 Dywizji Powietrzno-Desantowej, zupełnie prawie zgładzonej siłami dywizji pancernych SS, stała się jedną z największych legend II wojny światowej, podczas gdy zasługi polskiej 1 Samodzielnej Brygady Spadochronowej zostały niemalże całkowicie pominięte.

Prezentację zdjęć, fragmentów filmu o „Jeden most za daleko” oraz filmu z uroczystości wręczenia odznaczeń przez królową holenderską Beatrix przygotował nasz niezawodny kolega Sławek Brzeziński. Uczestnicy spotkania z zapartym tchem oglądali słynne sceny z filmu „O jeden most za daleko”, tym razem wzbogaceni wiedzą o akcji desantowej w Holandii dzięki fascynującym opowieściom Pana Marcina Henzla. Nie zabrakło łez wzruszenia podczas rozmowy z Panem Marcinem Henzlem, którą przeprowadziła niżej podpisana. Ciężko było wspominać kolegów sprzed lat, którym nie udało się przeżyć bitwy pod Arnhem.

Równie wzruszający dla klubowiczów okazał się film z wręczenia naszej jednostce spadochronowej Orderu Wojennego Wilhelma I i Medalu Brązowego Lwa, pośmiertnie, skrzywdzonemu przez dowództwo brytyjskie generałowi Stanisławowi Sosabowskiemu. W ciszy i skupieniu zebrani w Klubie goście stali przy hymnach państwowych Polski, a następnie Holandii, oddając w ten sposób hołd polskim bohaterom spod Arnhem. Na samym wręczeniu odznaczeń znalazła się ich już tylko garstka, wśród nich Pan Marcin Henzel. Na ten moment 1 Samodzielna Brygada Spadochronowa czekała lat 60.

O czym donosi

Dorota Czajka-Olszewska



Historia polskiego spadochroniarstwa

Polska była jednym z pierwszych krajów, które opracowały program spadochroniarstwa wojskowego. Pierwsze skoki z samolotu przeprowadzono w 1922 roku, aby przetestować metody użyteczne w sytuacjach awaryjnych. W 1929 roku pojawiły się spadochrony produkcji krajowej. W Polsce okresu międzywojennego silna była miłość do awiacji, w związku z czym LOPP (Liga Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej) organizowała bardzo popularne kursy latania na szybowcach i samolotach z silnikiem. W 1936 roku wybudowała pierwszą wieżę spadochronową pod Warszawą. W 1939 było już w Polsce 17 takich wież. Polscy harcerze również przechodzili szkolenie spadochronowe, a w sierpniu 1937 roku dali pokaz skoków na V Międzynarodowym Zlocie Skautów w Hadze.

Armia rozpoczęła badania nad zastosowaniem spadochronu do celów wojskowych po pierwszych pokazach radzieckich w 1936 roku. Początkowo chorążowie traktowali skoki z wieży jako ćwiczenie rozwijające charakter. We wrześniu 1937 roku zorganizowano pierwszy wojskowy kurs spadochroniarski z myślą o

utworzeniu jednostek sabotażowych i dywersyjnych. W maju 1939 roku Ministerstwo Spraw Wojskowych utworzyło Wojskowy Ośrodek Spadochronowy w Bydgoszczy. Pierwsza grupa 80 oficerów i podoficerów ukończyła kurs w ośrodku bydgoskim w czerwcu 1939 roku, w sierpniu 1939 roku rozpoczęła kurs grupa druga, lecz wybuch wojny przeszkodził w jego ukończeniu.

Niestety, większość spadochroniarzy i instruktorów z ośrodka bydgoskiego trafiła do niewoli lub zginęła w Polsce, we Francji lub w Norwegii. Do Anglii zdążyli jednak dotrzeć dwaj najlepsi instruktorzy: porucznik pilot Jerzy Górecki i podporucznik Julian Gębołyś.

Nie sposób oceniać spadochroniarstwo w 1940 roku ze współczesnej perspektywy, albowiem w 1938 roku człowiek miał za sobą dopiero 35 lat lotów z silnikiem, a spadochroniarstwo na dobre rozwinęło się zaledwie 10 lat wcześniej. Do tego czasu skokami ze spadochronem zajmowali się jedynie kaskaderzy i inni śmiałkowie. Mimo że spadochroniarstwo było nową dziedziną, Polacy mogli się poszczycić osiągnięciami i na tym polu. Porucznik Gębołyś odkrył, że zmieniając kształt czaszy spadochronu przez manipulowanie linkami, spadochroniarz jest w stanie zmieniać kierunek, redukować wstrząsy i uzyskać częściową kontrolę nad prędkością opadania. Wcześniej spadochroniarze po prostu wisieli pod swoimi spadochronami i lądowali tam, gdzie zaniósł ich los i wiatr.

1 Samodzielna Brygada Spadochronowa

Brygadę spadochronową postanowił utworzyć w 1941 roku pułkownik Stanisław Sosabowski. Przy tworzeniu brygady Sosabowskiemu przyświecała myśl „Najkrótszą drogą” do Ojczyzny. Jednostkę sformowano w Szkocji. W 1942 roku brygada powiększyła się o licznie przybyłych z obozów w ZSRR jeńców, a w 1944 roku brygada liczyła już 2 200 żołnierzy.

Szkocja-Małpi Gaj

Obok tablicy z napisem „Własność Ministerstwa Wojny - wstęp surowo wzbroniony” znajdowała się inna tablica „Małpi Gaj. Jeśli szukacie śmierci, wstąpcie na chwilę”.

Małpi Gaj znajdował się na terenie posiadłości Largo House. Kamienny pałacyk zbudowano w 1750 roku, a w 1940 roku mieściły się tam biura i stołówka wojskowa. Na poddaszu stajni wycięto w suficie otwory, odpowiadające wielkością i kształtem otworom w podłodze bombowca Whitley, który służył w tamtym czasie do transportu spadochroniarzy. A na terenach wokół pałacyku zbudowano tor przeszkód pełen diabelskich urządzeń. Żołnierze wisieli na trapezach, chodzili po równoważniach, wspinali się, skakali i koziółkowali. Jak skuteczny był Małpi Gaj świadczy fakt, że w polskiej sekcji w Ringway kursanci odnosili o połowę mniej obrażeń niż w brytyjskim ośrodku spadochronowym.

Polska brygada wybudowała własną wieżę spadochronową, a była ona podobna do tych budowanych w Polsce przed wojną. Żołnierz musiał skakać z 30-metrowej wieży na podczepionym do stalowej liny spadochronie, a lina mogła zatrzymać skoczka w dowolnym punkcie podczas opadania. Wymagający i surowy instruktor za pomocą megafonu besztł skoczków za każdy popełniony błąd.

Bombowiec Whitley

Nie cieszył się miłością spadochroniarzy, lecz był to jedyny dostępny samolot. Był zbyt wolny do lotów bombowych, co okazało się zaletą przy skokach spadochronowych. Umieszczona na brzuchu gondola karabinu maszynowego została usunięta i powstał otwór dla spadochroniarzy. Palenie na pokładzie było zakazane ze względu na opary benzyny, a instruktorzy musieli krzyczeć, taki panował hałas. W słabo oświetlonym wnętrzu spadochroniarze czekali na zielone światelko dające znak do skoków. Skakali kolejno z przeciwległych stron otworu. Idealny skok z Whitleya był prawie niemożliwy, a spadochroniarz miał dużo szczęścia, jeśli udało mu się ukończyć szkolenie bez chociaż jednego uderzenia twarzą o krawędź otworu podczas skoku.

Wykorzystanie 1 Samodzielnej Brygady przez dowództwo alianckie

W 1944 roku Wyspy Brytyjskie stały się bazą dla setek tysięcy amerykańskich żołnierzy, przygotowujących się do inwazji na kontynent. Wielka Brytania, która prowadziła wojnę dłużej niż Stany Zjednoczone i ponosiła przeraźliwe straty, obawiała się, że przyćmi ją potężny sojusznik, toteż starała się uruchomić wszelkie dostępne rezerwy. Jediną aliancką jednostką w Wielkiej Brytanii niepodlegającą Naczelnemu Dowództwu Alianckich Sił Ekspedycyjnych była polska 1 Samodzielna Brygada Spadochronowa. Brytyjczycy nie zapomnieli o środkach, które poświęcili na sformowanie i wyszkolenie polskiej brygady i chcieli wyciągnąć jakąś korzyść z tej inwestycji. Generała Sosabowskiego powiadomiono, że generał Montgomery jest bardzo zainteresowany udziałem polskiej brygady w zbliżającej się inwazji, jeszcze przed rozpoczęciem jej podstawowej misji w Polsce (1 Brygada miała pomóc walczącej Warszawie).

Sosabowski na taką propozycję zareagował ostro i odpowiedział, że polski Naczelny Wódz, generał Sosnkowski, zdecyduje jak i gdzie zostanie wykorzystana brygada. Narady i dyskusje na temat wykorzystania brygady na froncie zachodnim trwały w polskich biurach rządowych i wojskowych przez całą wiosnę. Wszystkie negocjacje zakończyły się w momencie, kiedy generał Sosnkowski otrzymał za Sztabu Generalnego Imperium list z prośbą o podporządkowanie brygady dowództwu brytyjskiemu, bez żadnych warunków.

Operacja Market Garden

Była to największa operacja z udziałem wojsk powietrzno-desantowych podczas II wojny światowej. Miała na celu rozdzielenie wojsk niemieckich i obejście od północy niemieckich umocnień obronnych zwanych linią Zygfryda, co miało umożliwić wejście do Zagłębia Ruhry i tym samym przyspieszyć koniec wojny. Kluczowym zagadnieniem było uchwycenie mostów na Renie i innych rzekach zanim Niemcy zdążą je zniszczyć. Zdobycie mostów powierzono amerykańskim, brytyjskim i polskim wojskom powietrzno-desantowym. Miały one wylądować niedaleko mostów, zdobyć je w stanie niezniszczonym przez zaskoczenie i bronić je przez dwa dni czekając na dotarcie głównych sił lądowych.

Generał Sosabowski wobec planowanej akcji

Generał Sosabowski zirytowany radosnym nastrojem podczas konferencji czuł, że Brytyjczycy stanowczo nie doceniają sił niemieckich w tym rejonie. Brytyjczycy wyraźnie zakładali, że Niemcy pozwolą na sforsowanie swego świętego Renu. Największy wstrząs nastąpił, kiedy Brytyjczycy ujawnili, że strefy zrzutu i lądowania 1 Dywizji Powietrzno-Desantowej znajdują się w odległości 10 km od najważniejszego celu: mostu w Arnheim. Sosabowski powiedział wtedy: „Utraciliśmy najbardziej nieodzowny element każdej operacji powietrzno-desantowej: zaskoczenie!”. Brytyjczycy na odprawie siedzieli w swobodnych pozach i wyglądali na znudzonych.

Przebieg operacji

Operacja rozpoczęła się 17 września 1944 roku i okazała się zbyt ambitna i źle zaplanowana. Brak dostatecznej ilości samolotów transportowych spowodował rozłożenie desantu powietrznego na 3 etapy (w odstępach 24-godzinnych) co znacząco zmniejszyło efekt zaskoczenia przeciwnika. Załamanie pogody wprowadziło dalsze opóźnienia. Z powodu gęstej mgły dopiero 21 września, a nie jak planowano 19 września, doszło wreszcie do desantu 1 Samodzielnej Brygady Spadochronowej. Tuż przed startem zmieniono strefę zrzutu. Polacy wylądowali na zachodnim brzegu Renu w rejonie Driel z zadaniem wsparcia broniących się rozpaczliwie po drugiej stronie rzeki Brytyjczyków. 1 Samodzielna Brygada Spadochronowa za cenę dużych strat zdołała przepłynąć przez Ren jedynie 300 żołnierzy. Prom, który miał umożliwić przeprawę przez rzekę zniszczono zanim wylądowali Polacy. Żołnierze polscy tylko w niewielkiej ilości mogli się ewakuować, bo nie było dla nich miejsca w łodziach przepławowych i w większości dostali się do niewoli.

Zabawne sytuacje

Mimo całego dramatyzmu wojennego, zdarzały się podczas operacji Market Garden i zabawne sytuacje. Ksiądz Bednorz, kapelan 1 Samodzielnej Brygady Spadochronowej, po wylądowaniu zapukał do drzwi holenderskiego probostwa. Otworzył mu tamtejszy ksiądz, który ujrzał stojącego w progu mężczyznę w maskującym kombinezonie i hełmie obciążonym siatką. Zupełnie osłupiał, kiedy przybysz wyjaśnił po angielsku, że jest kapelanem wojska polskiego. Holenderski ksiądz zapytał: „Co sprowadza tutaj polskiego kapelana?”, na co ksiądz Bednorz odpowiedział bez wahania (i zgodnie z prawdą): „Niebios!”

Ogólne straty

Niemcy okrążyli elitarną brytyjską 1 Dywizję Powietrzno-Desantową, która walczyła pod Arnhem, a następnie ją doszczętnie zniszczyli.

Z 10 tysięcy desantujących się żołnierzy zginęło bądź trafiło do niewoli 8 tysięcy. Ogółem w całej operacji „Market Garden” zginęło, zaginęło lub zostało ciężko rannych 17 tysięcy żołnierzy alianckich. Straty niemieckie szacuje się na 9-10 tysięcy.

Holendrzy stracili około 500 ludzi, jednak trzeba doliczyć do tego jeszcze tych, którzy zginęli z głodu lub przez prześladowania niemieckie.

Straty 1 Samodzielnej Brygady Spadochronowej oraz ponowne podporządkowanie Brytyjczykom

Polska Brygada Spadochronowa straciła prawie 400 ludzi, co stanowiło 23% oficerów oraz 22% podoficerów i żołnierzy. Z czasem brygada miała być wycofana do Anglii, ale ze względu na sytuację nadal potrzebna była w Holandii. Brygadzie wyznaczono zadanie obrony lotniska i zapewnienia bezpieczeństwa alianckim liniom komunikacyjnym. Sosabowski i jego ludzie zostali podporządkowani młodszemu stopniem brytyjskiemu oficerowi.

Depesza marszałka Montgomery’ego

W depeszy datowanej 7 października 1944 roku Montgomery zameldował szefowi Sztabu Generalnego Imperium, że polska brygada walczyła źle i że nie chce jej pod swoim dowództwem; zasugerował, aby wysłano ją do Włoch, gdzie dołączy do przebywających tam polskich oddziałów.

List Browning’a

Browning, który został odznaczony orderem Polonia Restituta za wielki wkład w tworzenie polskiej brygady spadochronowej wysłał do polskiego Sztabu Generalnego list, który podsumowywał jego relacje z Sosabowskim i zawierał oskarżenie, że generał Sosabowski nieustannie stwarzał trudności zarówno w okresie przygotowań, jak i podczas samej operacji. Dalej list stwierdzał, że generał bardzo niechętnie brał udział w walce i że w przyszłości należy się spodziewać dalszych problemów. Browning zalecał zmianę na stanowisku dowódcy brygady.

Konsekwencje wysłania listów w sprawie generała Sosabowskiego

Polskie władze przychyliły się do brytyjskich żądań i generałowi Sosabowskiemu odebrano dowództwo brygady.

Losy generała Stanisława Sosabowskiego

Karierę wojskową rozpoczął już w trakcie I wojny światowej w armii austro-węgierskiej.

Od 1918 roku służył w Wojsku Polskim. W latach 30-tych wykładał w Wyższej Szkole Wojennej. Dowodził w czasie kampanii wrześniowej w 1939 roku Pułkiem „Dzieci Warszawy”, który brał udział w bitwie pod Mławą i w obronie Twierdzy Modlin. Po kapitulacji Warszawy przedostał się najpierw do Francji, a potem do Wielkiej Brytanii, gdzie objął dowództwo 4 Brygady Kadrowej Strzelców, a następnie stworzył na jej podstawie 1 Samodzielną Brygadę Spadochronową.

Generała Sosabowskiego zdemobilizowano w roku 1948. Osiadł w Wielkiej Brytanii, pozbawiony przez władze brytyjskie emerytalnych uposażeń wojskowych. Pracował jako robotnik w magazynie.

Zmarł w 1967 roku, a w 1969 roku wierni swemu dowódcy spadochroniarze przewieźli jego prochy do Polski. Został pochowany na warszawskim Cmentarzu Wojskowym na Powązkach.

Po wojnie

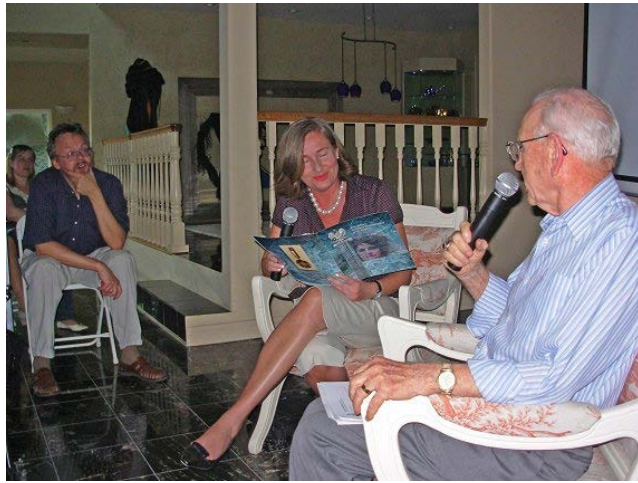
We wrześniu 2004 roku obchodzono 60 rocznicę bitwy pod Arnhem. Polscy spadochroniarze znowu przeszli ulicami Driel. W uroczystościach wziął udział Brian Urquhart, który w 1944 roku był oficerem wywiadu generała Browninga i został odwołany za ciągłe ostrzeżenia o niemieckich jednostkach pancernych w rejonie Arnhem, a jakiś czas po wojnie objął funkcję zastępcy sekretarza generalnego ONZ. Być może dlatego, że podzielił los polskiego generała, sir Brian zainicjował kampanię zmierzającą do przywrócenia honoru Stanisławowi Sosabowskiemu i jego brygadzie.

Dopiero w 2006 roku rząd holenderski oddał hołd bohaterskim żołnierzom 1 Samodzielnej Brygady Spadochronowej.

Źródła:

George F. Cholewczynski „Rozdarty naród. Polska brygada spadochronowa w bitwie pod Arnhem”, Wydawnictwo: Andrzej Findeisen – A. M. F. Plus Group, 2006
http://pl.wikipedia.org/wiki/Stanisław_Sosabowski
http://pl.wikipedia.org/wiki/1_Samodzielną_Brygadą_Spadochronową
http://pl.wikipedia.org/wiki/Operacja_Market_Garden





Koncert na rzecz budowy pomnika Ignacego Jana Paderewskiego 22 września 2007

Tym razem Klub im. Heleny Modrzejewskiej zaprosił na koncert na rzecz pomnika Paderewskiego w wykonaniu Marka Żebrowskiego, fortepian, Larsa Hoefs'a, wiolonczela i Joel'a Pargmana, skrzypce.

W 1923 roku Ignacy Jan Paderewski otrzymał doktorat honoris causa z University of Southern California. By upamiętnić to wydarzenie, w 2000 roku ówczesna dyrektor Polish Music Center, dr Maja Trochimczyk zainicjowała akcję postawienia pomnika Paderewskiego na terenie uniwersytetu.

Ignacy Jan Paderewski, pianista i kompozytor, prowadził na Zachodzie i w USA szeroko zakrojoną działalność dyplomatyczną na rzecz Polski. Przed każdym ze swoich występów przemawiał na temat postulowanej przez niego niepodległości Polski. W 1917 roku przekazał prezydentowi Wilsonowi memoriał na temat Polski i być może z tego powodu sprawa niepodległości naszego kraju znalazła się w słynnych 14 punktach Wilsona. Po powrocie do kraju w 1918 roku spotkał się z Piłsudskim i podjął się roli mediatora pomiędzy nim a obozem Dmowskiego.

W 1919 roku został premierem, zatrzymując dla siebie także stanowisko ministra spraw zagranicznych. Reprezentował Polskę na konferencji w Paryżu, na której podpisano kończący I wojnę światową traktat wersalski. Po śmierci Piłsudskiego Paderewski związał się z tzw. Frontem Morges, którego jednym z głównych założycieli był generał Władysław Sikorski. Front Morges postulował wybór Paderewskiego na prezydenta Polski. Po wybuchu II wojny światowej Paderewski wszedł w skład władz Polski na uchodźstwie.

Koncert był brawurowo prowadzony przez Marka Żebrowskiego, który rozpoczął go Cracovienne fantastique Ignacego Jana Paderewskiego i Grand Valse Brillante Op. 34 Fryderyka Chopina. Następnie z wiolonczelistą Larsem Hoefs'em, Marek zagrał Concertstueck Op. 31 Zygmunta Stojowskiego. Koncert zakończył się pierwszą częścią Tria Op. 8 Chopina (Joel Pargman, skrzypce i Lars Hoefs, wiolonczela). Nie obyło się oczywiście bez bisu. Były to Melodie Paderewskiego w aranżacji Marka na skrzypce, wiolonczelę i fortepian. Artyści byli długo oklaskiwani i warto w skrócie wymienić ich dorobek i sukcesy.

Marek Żebrowski, pianista i kompozytor, ukończył z honorami Liceum Muzyczne w Poznaniu. Naukę kontynuował w New England Conservatory of Music (tu otrzymał Bachelor's i Master's Degrees). Kompozycja Ex tempore wygrała drugą nagrodę w 1997 roku na międzynarodowym konkursie w Hadze. Marek Żebrowski również wykłada dla Pacific Symphony Orchestra, Boston Symphony Orchestra, Harvard University, New England Conservatory of Music i Osher Learning Institute of Southern California. Wiele lat uczył w University of Massachusetts i Massachusetts Institute of Technology. Na USC w Polish Music Center Marek Żebrowski objął funkcję Program Director po dr Mai Trochimczyk.

Lars Hoefs, wiolonczelista, kształcił się w Northwestern University oraz w University of Southern California. Jako wiolonczelista w Blue Rose Trio, występował w Chinach, Izraelu, Brazylii, Francji, Kalifornii i na Alasce. Brał udział w festiwalach na Alasce i Rio de Janeiro. Grał z uznanymi artystami, między innymi: z Midori, Peterem Marshem oraz z muzykami Ysaye Quartet. Jego własne kompozycje inspirowane są filozofią Jiddu Krishnamurti.

Joel Pargman, skrzypek, ukończył University of Southern California's Thornton School of Music w Los Angeles. Regularnie występuje z Los Angeles Chamber Orchestra, Santa Barbara Chamber Orchestra, Musica Angelica Baroque Orchestra, Pasadena Symphony oraz z Riverside Philharmonic. Nagrał płyty z takimi muzykami jak: Ben Harper, Andrea Bocelli, Jamie Foxx, Joe Cocker, Travis Tritt, Fall Out Boy, Kenny Loggins oraz Sean "Diddy" Combs.

Koncert odbył się w pięknej i przyjaznej rezydencji Państwa Heleny i Stanley'a Kołodziej.

Dochód z koncertu został w całości przeznaczony na pomnik zasłużonego Polaka i wielkiego artysty, Ignacego Jana Paderewskiego.

Elżbieta Kańska





Klasyczny duet akordeonowy Hubert Giziewski i Paweł Sulej 20 października 2007



Wieczór 20 października 2007 w Klubie im. Heleny Modrzejewskiej okazał się fascynującym wydarzeniem muzycznym. Polski duet akordeonowy Harmonium Duo, czyli panowie Hubert Giziewski i Paweł Sulej, wystąpił z recitalem „Tańce Świata” w sali kameralnej Burns Fine Arts Center w Loyola Marymount University w Los Angeles. Muzycy rozpoczęli w ten sposób swoje tournée amerykańskie, podczas którego mieli również zagrać koncerty w Santa Barbara, San Diego, Denver, Dallas, Tucson i innych miastach południowo-zachodnich Stanów.

Muzycy, choć młodzi i – jak sami przyznali w rozmowie po koncercie, dopiero cztery lata koncertują razem, są więc na początku kariery wirtuozowskiej – okazali się wspaniałymi mistrzami swoich instrumentów, znanych bardziej z ich roli w muzyce popularnej niż klasycznej. Opatentowany w 1829 roku pod nazwą „accordion”, instrument ten popularny jest w wielu krajach świata, od Niemiec po Argentynę z zadziwiającą liczbą nazw: aeolidicon, armonica, bayan, bandoneon, concertina, dragharmonica, garmonoshka, Harmonie-Flute, Klavier-Harmonica, melodeon, Mello-Piano, organo violine, terodion, uranion, i „of course, squeeze box”. Najbardziej rozpowszechniony w Niemczech, instrument ten został też przywieziony do Argentyny przez niemieckich marynarzy, którzy zostawili swoje „bandeony” (opatentowane w 1840 roku przez Heinricha Band) w tawernach jako zapłatę za trunki. Argentyńczycy zaczęli na nich grać tanga i stąd krótka już droga do Astora Piazzoli, którego dwa utwory zaprezentowali nam wspaniali muzycy na o wiele większych akordeonach, imitując ostrą barwę przy pomocy rejestrów i dynamiki. „Adios Nonino” jest dobrze znane w wersji z wiolonczelą Yo-Yo-Ma, ale nasi mistrzowie akordeonu pokazali w nim równą klasę.

Akordeon to „ciekawa bestia” – połączenie fortepianu (biało-czarne klawisze lub guziki) z organami (miech i rejestry) i instrumentami dętymi drewnianymi (stroiki, na które dmucha strumień powietrza, powodując ich wibrowanie i wydobywanie dźwięku). Współczesne instrumenty włoskiej firmy Pignini (odpowiednik fortepianowego Steinway’a), na których grali panowie Giziewski i Sulej, są dziełami sztuki użytkowej, a ich skonstruowanie zajmuje ponad pół roku.

Instrumenty dobrze posłużyły muzykom do oczarowania publiczności zestawem wirtuozowskich tańców w aranżacjach na dwa akordeony, włącznie z ciekawą i nadzwyczaj trudną Suitą Polską Cezarego Paciorca (ambitny utwór z cytatami polskich tańców, od poloneza i góralskiego do mazurka e-mol Chopina), czy dwoma nostalgiczno-dramatycznymi tangami mistrza gatunku, Astora Piazzoli, do takich szlagierów muzycznych jak Czardasz Victorio Monti, czy transkrypcja Fantazji z Carmen Bizeta, przerobiona z orkiestry na fortepian przez słynnego pianistę Vladimira Horowitza, a z fortepianu na dwa akordeony przez profesora i mentora młodych muzyków, Jerzego Łukasiewicza. Faktury pianistyczne w wykonaniu akordeonowym brzmiały ciekawie, choć w utworach pisanych na orkiestrę, jak Rapsodia Rumuńska Nr. 1 z op. 11 Gyorgy Enescu, łatwo było dosłuchać się ograniczeń wynikających z grania na dwu jedynie instrumentach, którym trudno czasami zastąpić wielki i różnorodny zespół symfoniczny.

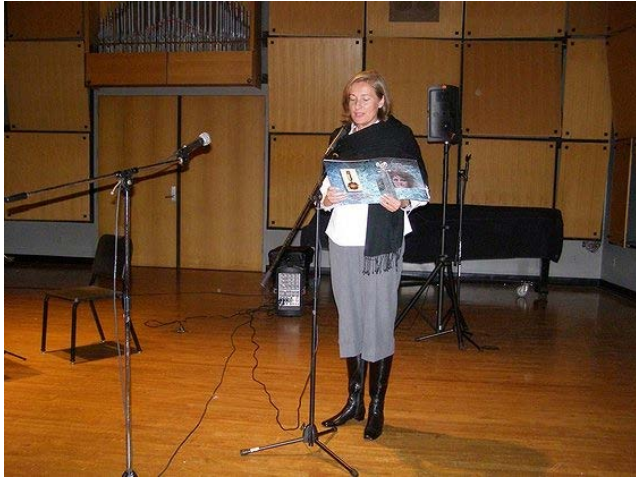
Udało się jednak Harmonium Duo osiągnąć pożądany efekt akceleranda i crescenda w ostatnim tańcu Rapsodii Enescu, która zamykała program wieczoru, więc publiczność, zachwycona melodyjnością i przystępnością muzyki, pożegnała ich owacją na stojąco. Bisem było drugie tango Piazzoli, które osobiście uważam za najlepszy utwór i najlepszą interpretację całego wieczoru. Program otworzyły utwory kompozytorów mniej znanych – wirtuozowska Tarantella Czecha sacłała Trojana, dwie kompozycje rosyjskie Anatola Szalajewa (cykl wariacji na temat pieśni ludowej „wima” i Walc-Elegia) oraz świetnie znany z całej wielości parafraz i transkrypcji Walc z opery „Maskarada” Ormianina Arama Chaczaturiana. Był on za życia jednym ze sztandarowych kompozytorów w wwiązku Radzieckim, w którym akordeon traktowano jako instrument praktycznie narodowy. Służył on umuzykalnieniu „mas robotniczych i chłopskich” jako namiastka „wielkopańskiego” szlacheckiego fortepianu czy mieszczańskiego pianina.

W repertuarze swoim Harmonium Duo ma kilka zestawów koncertowych, od muzyki sakralnej, do polskiej muzyki współczesnej. Wiele utworów to akordeonowe transkrypcje mistrzów takich jak Jan Sebastian Bach. W świecie muzyki współczesnej można znaleźć oryginalne dzieła, wprowadzające akordeon, zdolny do wydobywania całej masy różnorodnych dźwięków, do panteonu najciekawszych instrumentów koncertowych. Harmonium Duo ma w programie, oprócz suity swojego kolegi Cezarego Paciorka, także zestaw kompozycji na akordeon Andrzeja Krzanowskiego, przedwcześnie zmarłego wybitnego kompozytora i muzyka polskiego. W rękach Krzanowskiego, akordeon stawał się instrumentem niemalże metafizycznym. W rękach Giziewskiego i Suleja zadziwiał wirtuozostwem, feerią barw i kalejdoskopową różnorodnością melodii. Nic dziwnego, że są wspaniałymi, utalentowanymi odtwórcami muzyki akordeonowej – studiowali ten instrument już od szóstego roku życia. Planują w przyszłości rozszerzyć swój repertuar i zamierzają zacząć uczyć się improwizacji jazzowej. Jest to zupełnie odrębny świat muzyczny, który czeka na ich talent.

Maja Trochimczyk



Hubert Giziewski i Paweł Sulej ukończyli Akademię Muzyczną im. Fryderyka Chopina w Warszawie. Należą do czołówki najwybitniejszych polskich muzyków swojego pokolenia. W czasie wieloletniej edukacji artystycznej zdobyli szereg najwyższych nagród i wyróżnień na wielu prestiżowych festiwalach i konkursach muzycznych w Polsce i za granicą. Do najważniejszych należą laury festiwalu: w Mławie, Chełmie, Stalowej Woli, Castelfidardo (Włochy), Ibla-Ragusa (Włochy). Wielokrotnie otrzymywali stypendia naukowe Prezesa Rady Ministrów oraz Lions Club International Warszawa – Nike. Jako soliści i kameraliści występowali w najświetniejszych salach koncertowych i centrach artystycznych w Polsce, takich jak: Filharmonia Narodowa, Studio S1 Polskiego Radia im. W. Lutosławskiego, a także za granicą, m.in.: w Suntory Hall (Japonia), Carnegie Hall (Nowy Jork, USA), Esplanade Art Center (Singapur). Koncertowali także w Austrii, Bułgarii, Maroku, Niemczech, we Włoszech oraz na Litwie. Obaj grają na włoskich instrumentach przygotowanych na specjalne zamówienie. Duet akordeonowy Hubert Giziewski i Paweł Sulej realizuje szereg projektów artystycznych, między innymi: „Wielkie Transkrypcje”, „Polska Muzyka Współczesna”, „Musica Sacra”, „Tańce Świata” i „Sacrum & Profanum”.









Teatr ZAR

25 listopada 2007



Świat można opisać na najróżniejsze sposoby. Dla jednych jest on zbiorem obrazów, dla innych skomplikowaną syntezą łączącą wszystkie zmysły, jeszcze dla innych zbiorem samych dźwięków. Dla Teatru ZAR świat ma strukturę muzyczną.

Teatr ZAR w swoich przedstawieniach przekonuje publiczność, że spektakl jest nie tylko greką thea, „widzeniem”, ale że również, a może przede wszystkim, powinien być doświadczany przez słuchanie. Muzyka, śpiew wywołują bowiem w słuchaczach obrazy, których nie można stworzyć za pomocą najnowocześniejszych technologii teatralnych. Spektakle ZAR-u skierowane są do widza, który niekoniecznie muzykę kosmosu słyszy, ale wierzy, że taka muzyka i harmonia gdzieś we Wszechświecie istnieją.

Teatr ZAR został założony przez wielonarodowościową grupę biorącą udział w warsztatach Ośrodka Grotowskiego we Wrocławiu podczas etniczno-muzycznych ekspedycji do Gruzji, Bułgarii i Grecji w latach 1999-2003. Podczas wypraw uczestnicy warsztatów poznali rekonstruowane pieśni religijne, także liturgiczne. Poszukiwali najstarszych śladów muzyki chrześcijańskiej, bo jak sami mówią „pragnęli ugryźć ducha rodzącego się chrześcijaństwa”. Najważniejszym doświadczeniem okazał się pobyt w Swaneti na Kaukazie w północno-zachodniej Gruzji i praca z wielogłosowymi pieśniami Swanów, którzy przechowali w swej tradycji utwory sięgające przełomu naszej ery. Sama nazwa ZAR to nazwa pieśni żałobnych wykonywanych przez Swanów.

Teatr ZAR działa pod skrzydłami Instytutu Grotowskiego powołanego do istnienia w 1990 roku. Instytut zajmuje się dokumentacją i informacją dotyczącą działalności Jerzego Grotowskiego oraz jego współpracowników, prowadzi prace naukowe i popularyzatorskie poświęcone twórczości Grotowskiego, organizuje pokazy przedstawień, warsztaty teatralne, prowadzi kino teatralne oraz wydaje własne publikacje. Mieści się we Wrocławiu w Przejściu Żelazniczym na Rynku Starego Miasta, w miejscu, w którym w latach 1965-1982 pracował Jerzy Grotowski oraz zespół Teatru Laboratorium. W 2002 roku Instytut otworzył działalność w Brzezince.

Na spotkanie w Klubie Modrzejewskiej, które odbyło się u Zosi i Witka Czajkowskich w niedzielę 25 listopada 2007 roku, przybyli: dyrektor teatru i Instytutu Jarosław Fret, menedżer Magdalena Mądra oraz zespół: Andrei Biziorek, Tomasz Bojarski, Aleksandra Kotecka, Kamila Klamut-Pawlik, Matej Matejka,

Ditte Berkely, Ewa Pasikowska, Nini Bang, Tomasz Wierzbowski, Bartosz Radziszewski i Przemysław Błaszczak. Dyrektor Instytutu Jarosław Fret opowiedział o działalności teatru, a młodzi wykonawcy zaprezentowali fragmenty śpiewanych spektakli. Całe przedstawienie „Gospels of Childhood” mieliśmy okazję obejrzeć kilka dni później na International Theatre Festival zorganizowanym w Freud Playhouse na UCLA. Spektakl był grany przy pełnej widowni od 27 listopada do 2 grudnia. Inicjatorką sprowadzenia Teatru ZAR do Kalifornii była Joanna Klass i jej Arden2, od lat zajmujący się promowaniem polskich teatrów alternatywnych w Stanach Zjednoczonych a jednym ze sponsorów tegorocznego teatralnego przedsięwzięcia był Klub Kultury im. Heleny Modrzejewskiej. Przy ascetycznej wręcz, symbolicznej scenografii artyści opowiedzieli przejmującą historię narodzin i śmierci, miłości i odrzucenia, a ich artystyczny wysiłek nagrodzony został entuzjastyczną recenzją w „Los Angeles Times” napisaną przez Marka Sweda: Short, sacred, haunting. Polish troupe Teatr Zar finds beauty in abstract ritual with its riveting "Gospels of Childhood". The chanting, which occurs throughout most of the hour, is more homophonic than polyphonic – the Svans may have been ahead of the West, but they hadn't actually atumbled upon counterpoint. No matter, because the consonances, full of open fifths, are gorgeous. [...] The running time above is personal. The show begins when you enter. It ends when you decide to leave. But Teatr Zar haunts, and I'd add hours, maybe days to that 54 minutes.

O czym donosi

Dorota Czajka-Olszewska





Spotkanie Opłatkowe 8 grudnia 2007

*W białe otuleni puchy
(nie, nie z śnieżnej zawieruchy,
bardziej z pierza pochodzące),
pod kalifornijskim słońcem,
między plażą i palmami,
autostradą i korkami,
wspominamy dawne dzieje,
polskie zimy i zawieje.
Łza się trochę w oku kręci
i tak nas niezmiernie nęci,
by pojechać tam (tak z marszu!),
gdzie Wigilia ma smak barszczu,
uszek, karpia w galarecie.
Miast się tulać znów po świecie
i w podniebną ruszać podróż,
lepiej zajrzeć do nas, bo tu...*

... bo tu Teatrzyk „Śnieżynka” zaprezentował tłumnie przybyłej publiczności opowiadkę niemoralną pod nieco przyzwoitszym i świątecznym tytułem „Historia pewnej Gwiazdki”, przygotowanej na podstawie doskonałych tekstów mistrza Jeremiego Przybory.

Teatrzyk „Śnieżynka” powstał w listopadzie 2007 roku i po licznych castingach i przesłuchaniach skompletował grupę znamienitych aktorów, w skład której weszli (w kolejności alfabetycznej): Kuba Chyła, Elżbieta i Jan Hiszpańscy, Elżbieta Kańska i Joanna Maleska. Nowo powstały teatrzyk objęła reżyserską opieką Dorota Olszewska, która również dokonała wyboru i adaptacji tekstów. Scenografią zajęła się nasza niezrównana w projektach plastycznych koleżanka klubowa Krysia Okuniewska, której w stawianiu dekoracji dzielnie pomagał Witek Olszewski. Las zimowy wyglądał jak „żywy” i skonstruowany został a to po części z wypożyczonego od zaprzyjaźnionego Zespołu Krakusy malowidła, a to z dostawionych choinek i tiulu. Dekoracja tak spodobała się gościom, że jeszcze długo po zakończonej części artystycznej fotografowali się na jej tle. Takie widoki wszak na naszej kalifornijskiej ziemi aż tak często się nie zdarzają.

Narratorem opowiadki był dwunastoletni Kuba Chyła, który rozpoczął całe przedstawienie i od razu przykuł uwagę publiczności świetną dykcją i interpretacją. Po nim na scenie pojawił się owinięty w jedwabny szaliczek szarmancki Janek Hiszpański, tęsknie i uwodzicielsko wzdychający za ciepłą wdówką na zimę („Gdyby wdówkę, gdzie ciepłą napotkać! Nim ta zima chwyci znów - żeby tak coś z ciepłych wdów! Ciepła wdówka na zimę - zawieruchę i mróz.”). Partnerowała mu Ela Kańska ochoczo godząca się na rolę ciepłej wdówki („Proszę pana, ja panu coś powiem: jestem ciepła, choć jeszcze nie wdówka. Ale jeśli pan umie uwidowić - czeka pana urocza placówka.”). Wspólne zaloty przerwane zostały dość gwałtownym wkroczeniem do akcji rozjuszony Joasi Maleskiej („Nareszcie! Gdzieś dotąd przebywał tak długo? W areszcie? Czy może z tą trzecią, czy drugą? Czy też cię kosztował ten czas tyle męki? Nareszcie! Ach, dotknąć twej twarzy, twej ręki. Nareszcie!”). Na dwóch uwiedzionych historia niestety się nie skończyła... Z śnieżnej zadymki wyłoniła się zamyślona i smutna Ela Hiszpańska, szukająca ze szkłem powiększającym śladów niewiernego kochanka („Jak ten śnieg pada. Nie zostałeś ze mną dziś. Jak ten śnieg pada.

Nigdy już nie zostałbyś. Już po twoich śladach w łez białych zamęcie odeszło to szczęście, co z nieszczęść się składa.”). Ela, obficie obsypywana śniegiem rzuconym zza sceny przez Krysę Okuniewską, odpłynęła w zimową białą dal, a na scenę wkroczyli po raz kolejny Joasia (wciąż w nie najlepszym humorze) i Janek, do znudzenia powtarzający pytanie „No co? No co? No co? No co? No co ja ci zrobiłem? Cóż ci takiego zrobiłem oprócz dzieciątka - prócz tej pamiątki przemilej po naszych piątkach?”. Dobiegający zza sceny płacz niemowlęcia stanowił niezbity dowód na to, że para wcześniej miała okazję poznać się nieco bliżej. Przyglądający się całej historyjce Kuba mógł tylko westchnąć głęboko, machnąć z rezygnacją ręką na skomplikowane sprawy dorosłych i zaproponować, aby je przykrył śnieg („Na całej polaci - śnieg. W przeróżnej postaci - śnieg. Na siostry i braci - zimowy plakacik – śnieg - śnieg. Na naszą równinę śnieg. Na każdą mięścinę - śnieg. Na tłoczek przed kinem - na ładną dziewczynę – śnieg - śnieg.”) Do pięknie śpiewającego Kuby wkrótce dołączyli pozostali bohaterowie przedstawienia, którzy piosenkę wspólnie i w całkowitej już zgodzie zaśpiewali do końca. Wszystko dobre co się dobrze kończy - historyjka acz nieco niemoralna, na szczęście dobrze się skończyła.

Nad „bezpieczeństwem” artystów, choć do występu przygotowani byli doskonale, czuwała niezastąpiona w roli suflera Krysia Kusza, gotowa w każdej chwili podrzucić potrzebne słowo bądź kwestię.

Stroną techniczną zimowej inscenizacji zajął się niezawodny Sławek Brzeziński.

Po części artystycznej znalazł się czas na wspólne śpiewanie kolęd. Kolędującym ze wszystkich sił Klubowiczom akompaniowała pianistka Ewa Telega, absolwentka Akademii Muzycznej w Łodzi i University of California w Irvine, pracownik naukowy na California State University w Los Angeles oraz członek Music Teacher Association of California. Ewa zadbała również o „ścieżkę dźwiękową” do całego przedstawienia, wybrała i wykonała utwory podkreślające humor, a także miłosny dramatyzm prezentowanych tekstów.

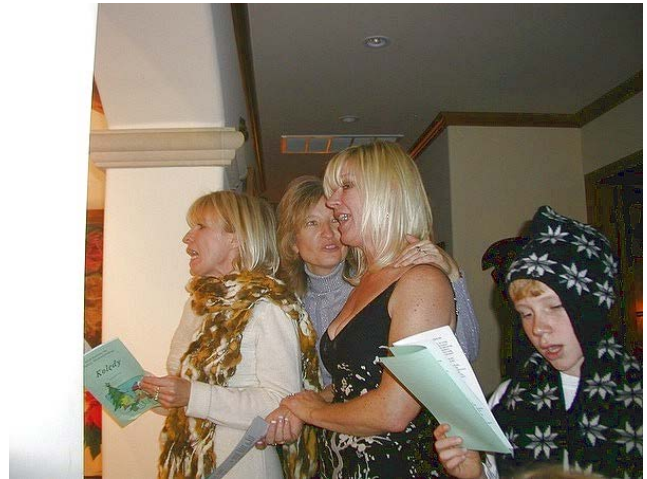
O zaśpiewanie kolędy „Oj, maluśki, maluśki” uproszono wizytującą z Chin Marysię Piłatowicz, która za swój występ solowy nagrodzona została burzą oklasków.

Życzenia świąteczne złożyła prezes Klubu (niżej podpisana), która jednocześnie symbolicznie z wszystkimi zgromadzonymi podzieliła się opłatkiem na znak pokoju, pojednania, przebaczenia, miłości, przeżywanej wspólnie radości Bożego Narodzenia oraz na znak wierności najcenniejszym i najpiękniejszym polskim tradycjom. Życzenia w imieniu Konsulatu Rzeczypospolitej Polskiej w Los Angeles przekazała Klubowi Modrzejewskiej przybyła na spotkanie Konsul Generalny Paulina Kapuścińska.

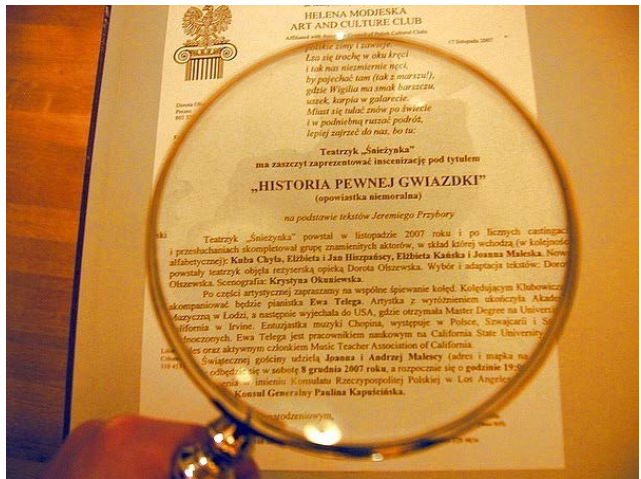
Spotkanie odbyło się w sobotę 8 grudnia 2007 roku w pięknej i jak zwykle przyjaznej rezydencji Joasi i Andrzeja Maleskich. Przygotowaniami kulinarnymi kierowała Lilianna Moradi, a stół... A stół ugiął się pod ciężarem wigilijnych przysmaków i trunków wybornych przyniesionych przez miłych Klubowiczów i ich gości, którzy jednak zanim zaczęli zabawę i ucztowanie, w uściskach serdecznych, dzieląc się opłatkiem, życzyli sobie wszystkiego co na tym świecie najlepsze.

O czym donosi
Dorota Czajka-Olszewska













**„Dlaczego współczesny człowiek nie rozumie Biblii ?”
Spotkanie z księdzem Markiem Ciesielskim
9 lutego 2008**



Biblia jest częścią światowego dziedzictwa kulturowego i chociaż każdy wie o jej istnieniu, tak naprawdę o niej niewiele może powiedzieć.

Biblia jest zbiorem ksiąg, spisanych pierwotnie po hebrajsku, aramejsku i grecku, uznawanych przez wyznawców religii żydowskiej i chrześcijańskiej za natchnione przez Boga. Biblia i poszczególne jej części posiadają odmienne znaczenie dla różnych wyznań. Na chrześcijańską Biblię składają się Stary Testament i Nowy Testament. Tanach, Biblia hebrajska, obejmuje część kanonu Starego Testamentu. Natomiast muzułmanie uważają, iż część Biblii (np. Księgi Mojżeszowe, Psalmi) powstała w wyniku boskiego objawienia, ale jej treść została zafałszowana.

Najstarszą częścią Biblii są jej pisma poetyckie - Psalmi, Księga Hioba, Pieśń nad Pieśniami, które zostały napisane przed rokiem 1000 p.n.Ch.

Doniosłość Biblii trzeba rozważać nie tylko na płaszczyźnie religijnej, ale także moralnej i kulturowej. Niezależnie od wyznania i światopoglądu Biblia stanowi źródło przykazań moralnych stanowiących podstawę stosunków międzyludzkich na całym niemal świecie. Biblia jest nieustającym natchnieniem dla artystów i myślicieli, inspiracją dla literatury, malarstwa, rzeźby i muzyki. Biblia to skarbiec najróżniejszych anegdot i fabuł, stylistyk i frazeologii, wzorców osobowych i postaw.

Czy czytamy to tłumaczone na 1200 języków i narzeczy dzieło literatury światowej? A jeśli tak - czy je rozumiemy? Na te i inne pytania próbował odpowiedzieć w wykładzie „Dlaczego współczesny człowiek nie rozumie Biblii?” ksiądz Marek Ciesielski. Nasz gość podkreślał w swoim wykładzie, że jedną z przyczyn braku zrozumienia dla treści biblijnych jest wszechobecny w świecie kryzys słowa. Szybkość i zwięzłość komunikacji, Internet, gry komputerowe, sms-y, komiks, rozbuchanie mediów nastawionych na błyskawiczne dostarczenie nie tyle wiadomości co sensacji - nie sprzyja w dzisiejszych czasach słowu pisanemu, a już tym bardziej nie sprzyja sięganiu do źródeł i trudnych tekstów biblijnych wymagających nie lada przygotowania. Ksiądz Marek w swoim wykładzie skupił się przede wszystkim na opisie stworzenia świata z początku Księgi Rodzaju i na tym jak współczesny człowiek po przeczytaniu nań reaguje,

zwłaszcza jakie pytania sobie stawia, gdy słyszy ten tekst. Zazwyczaj czytelnik pyta o to „jak” został świat stworzony. Tylko dla wyznawców religii żydowskiej istotne jest nie „jak”, a „kto” stoi za dziełem stworzenia świata. Ksiądz Marek mówił również o różnym stopniu przygotowania do czytania tekstów biblijnych w poszczególnych kościołach. Najbardziej przygotowani do odbioru Biblii, najbardziej rozczytani w Biblii są protestanci, co wynika z pewnej wolności w tłumaczeniu Pisma Świętego, bowiem w religii protestanckiej osobiste rozumienie Słowa Bożego jest ważniejsze od nauczania jakiegokolwiek człowieka czy kościoła. Natomiast wyznawcy katolicyzmu nie kwestionują ustalonych wcześniej doktryn. W katolicyzmie Słowo Boże może być właściwie interpretowane jedynie przez upoważnionych do tego ludzi - zgromadzenia biskupów i teologów, a dla poparcia tego poglądu najczęściej podawany jest cytat z listu apostoła Piotra: „To przede wszystkim miejcie na uwadze, że żadne prorocтво Pisma nie jest dla prywatnego wyjaśnienia. Nie z woli bowiem ludzkiej zostało kiedyś przyniesione prorocтво, ale kierowani Duchem Świętym mówili /od Boga/ święci ludzie.” 2 Piotra 1:20-21 (Biblia Tysiąclecia)

Ksiądz Marek polecił książki, dzięki którym lektura Biblii może stać się łatwiejsza. Polecił między innymi wszystkie książki pani profesor Anny Świderkówny, wybitnej znawczyni antyku, a przede wszystkim jej słynne, składające się z kilku tomów dzieło „Rozmowy o Biblii”. Poza tym „Prawie wszystko o Biblii”, „Biblia a człowiek współczesny” oraz wspaniały wywiad-rzekę pt. „Chodzić po wodzie”, w którym profesor Świderkówna opowiada o sobie, swojej rodzinie, o udziale w Powstaniu Warszawskim, o pasjonującej pracy nad papirusami, a także o swojej wierze i o tym, jak zainteresowanie starożytnością grecko-rzymską przerodziło się w fascynację Biblią. Nasz gość zachęcił też do przeczytania książek Szymona Hołowni „Kościół dla średnio zaawansowanych” i „Tabletki z krzyżykiem”, Joachima Gnilki „Jezus z Nazaretu”, „Paweł z Tarsu” i „Piotr i Rzym” oraz Vittorio Messoriego „Opinie o Jezusie”.

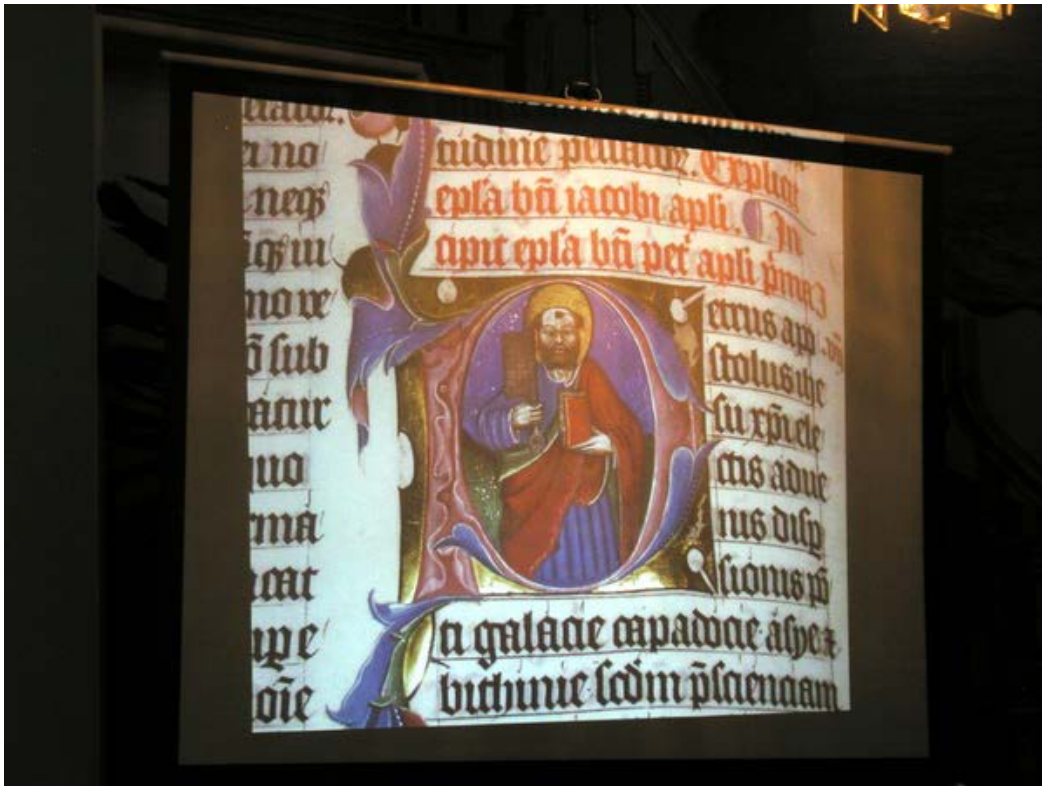
Ksiądz Marek Ciesielski jest kapłanem i zakonikiem od 11 lat. Studia teologiczne zakończył obroną pracy magisterskiej na KUL-u w 1996 roku. Studia doktoranckie kontynuował na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu. Przed ich skończeniem wyjechał do pracy w Niemczech. Był dwukrotnie duszpasterzem akademickim - w Poznaniu i w Szczecinie. W USA pracuje od 6 lat. Jego największe zainteresowania to: Edyta Stein, film, współczesna literatura polska i europejska oraz muzyka rockowa i klasyczna. Więcej na temat zainteresowań księdza Marka można znaleźć na jego stronie internetowej: www.tchr.org/ciesielski.

Spotkanie odbyło się w sobotę 9 lutego 2008 roku w pięknym i gościnnym domu Państwa Moniki i Davida Lehman. A księdza Marka długo jeszcze otaczał wianuszek klubowiczów chętnych do porozmawiania na duchowe tematy.

O czym donosi

Dorota Czajka-Olszewska







Spotkanie z twórcami filmu „Katyń” 23 luty, 2008

Samo nazwisko Andrzeja Wajdy jest wystarczającym magnesem zdolnym przyciągnąć na spotkanie tłumy Polaków. W dodatku tym razem tematem spotkania był najnowszy film Mistrza „Katyń”, wywołujący natychmiast w każdym silne emocje. Nic też dziwnego, że w przeddzień uroczystości wręczenia Oskarów salon państwa Heleny i Stanley’a Kołodziej szczelnie wypełnili członkowie Klubu i zaproszeni goście.

Niestety sam reżyser nie przybył na spotkanie ze względów zdrowotnych, natomiast pozostali twórcy filmu dopisali znakomicie. Rozmowy z nimi prowadzone przez Andrzeja Maleskiego były zarówno ciekawe jak i wiele informujące.

Wieczór rozpoczął wiersz Zbigniewa Herberta „Guziki. Pamięci kapitana Edwarda Herberta” w nagraniu dźwiękowym przygotowanym przez Ewę i Jacka Świdrów. Wiersz ten poruszył wyobraźnię Wajdy i był dla niego inspiracją do nakreślenia kształtu filmu o Katyniu. W Katyniu zginął ojciec Herberta podobnie jak ojciec Andrzeja Wajdy.

Producent filmu Michał Kwieciński mówił o trudnościach z jakimi borykał się Andrzej Wajda zanim film został zrealizowany. Wajda przez wiele lat przymierzał się do tego tematu i dopiero po wielu latach w wolnej Polsce stało się to możliwe. Przede wszystkim trudno było o scenariusz. Najpierw miał to być scenariusz pisany przez Andrzeja Wajdę z Włodzimierzem Odojewskim, autorem opisu zbrodni katyńskiej w powieści „Zasypie wszystko, zawieje”. Projekt ten nie doczekał się realizacji. Później Andrzej Wajda nakłonił Andrzeja Mularczyka do napisania książki „Post mortem. Opowieść katyńska”, która stała się przyczynkiem do filmu o Katyniu, a została wydana przed jego premierą. Scenariusz na podstawie powieści Mularczyka napisali Andrzej Wajda, Władysław Pasikowski i Przemysław Nowakowski. Andrzej Wajda w jednym z wywiadów stwierdził, że chciał zbrodnię w Katyniu pokazać światu poprzez cierpienie indywidualne, które wywołuje większy ból niż historyczne dowody. Powstał film kameralny, pokazujący losy trzech kobiet zmuszonych do konfrontacji z tragedią wymordowania swoich najbliższych.

Maciej Karpiński, wicedyrektor Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej, mówił na spotkaniu o podstawowym przesłaniu tego filmu, którym jest przedstawienie ogromu zbrodni w Katyniu, gdzie zginęło 22 tysiące polskich oficerów. „Katyń to zbrodnia na narodzie, pozbawienie go najlepszych synów, którzy według Stalina i Berii byli niereformowalni. Katyń to jest opowieść o zbrodni, o której nikt miał się nigdy nie dowiedzieć”. Katyńska zbrodnia została wykorzystana do celów propagandowych przez Niemców, przez Rosjan, i jest wykorzystywana do dziś. Nawet obecnie temat katyński jest niewygodny dla polityków zachodnich starających się uniknąć drażnienia „niedźwiedzia”.

Sam Andrzej Wajda twierdził w wywiadach, że jest to film o stalinowskiej zbrodni Politbiura; to nie oskarżenie narodu dokonującego zbrodni przeciwko narodowi. „Katyń” to również film o powojennych latach i kształtowaniu się Polski Ludowej. „Katyń” podejmuje temat bohaterstwa, nawiązuje do polskiej szkoły filmowej, wywołuje podobnie żywe dyskusje jak filmy z tamtych lat.

Agnieszka Odorowicz, dyrektor Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej, zapytana o światową premierę filmu „Katyń” na Festiwalu w Berlinie, odpowiedziała, że film Wajdy był pokazywany poza konkursem i uzyskał nagrodę specjalną -- Złotego Niedźwiedzia. Zapytana o planowane pokazy filmu w Rosji, Agnieszka Odorowicz ujawniła, że zorganizowane zostaną aż trzy pokazy: oficjalny, pokaz dla dysydentów oraz pokaz dla artystów.

Ciekawe były również wypowiedzi aktorów biorących udział w filmie: Artura Żmijewskiego, Pawła Małaszyńskiego, Magdaleny Cieleckiej i Andrzeja Chyry. Andrzej Chyra mówił o roli Jerzego – oficera, który uratował się i wrócił do kraju z Armią Ludową. Nie ominęła go powojenna rozterka: czy stanąć po stronie mordowanych, czy morderców. Magdalena Cielecka, filmowa Agnieszka, mówiła o swojej roli jako wątku znanym z „Antygony”. Agnieszka w filmie Wajdy podobnie jak Antygona próbowała pochować brata, ofiarę zbrodni w Katyniu, wbrew zakazowi władzy ludowej.

Antoni Pawlicki obsadzony został w roli Tadeusza, studenta ASP. Jego rola przypomina w pewnym stopniu życiorys samego Wajdy, a również los Maćka Chełmickiego z „Popiołu i diamentu”. Po raz kolejny Wajda polemizuje z naszym charakterem narodowym i pyta czy warto być bohaterem?

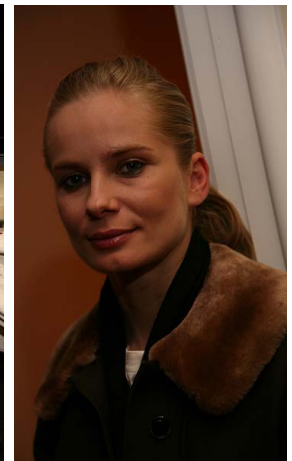
Jak wiadomo film Wajdy ostatecznie nie otrzymał „Oskara”, jednakże sama nominacja do tej prestiżowej nagrody zapewniła spełnienie głównego zamiaru twórcy: ukazania światu tragedii katyńskiej i olbrzymich strat, które tak ciężko zaważyły na przyszłych losach Polski.

Krystyna Kuszta
(na podstawie materiałów Andrzeja Maleskiego)









**„Chlip hop czyli nasza mglista lap-top lista”
w wykonaniu
Magdy Umer, Andrzeja Poniedziałkiego
i Wojciecha Borkowskiego
8 marca 2008**

Śpiewane przez nią piosenki „Koncert jesienny na dwa świerszcze”, „O niebieskim pachnącym groszku”, „Oczy tej małej” znała cała Polska. Zjawiskowa i eteryczna. Wykonawczyni poezji śpiewanej i dziennikarka. Łączyły ją silne i wieloletnie więzy przyjaźni z Jeremim Przyborą i Agnieszką Osiecką. Magda Umer ukończyła Wydział Filologii Polskiej na Uniwersytecie Warszawskim. Debiutowała pod koniec lat 60-tych w kabaretach studenckich. Laureatka Festiwalu Piosenki w Opolu. Scenarzystka, aktorka i autorka recitali. Wyreżyserowała widowiska „Biała bluzka” (z Krystyną Jandą), „Kobieta zawiedziona”, „Zimy żal”, „Big Zbig Show” (ze Zbigniewem Zamachowskim), „Mężczyźni mojego życia”, „Zielono mi”, „Marlene” i zaprezentowane na spotkaniu „Chlip hop”, w którym oprócz Magdy Umer wystąpili również Andrzej Poniedziałki i Wojciech Borkowski.

Andrzej Poniedziałki jest poetą, bardem i konferansjerem związanym ze środowiskiem kabaretowym. Prywatnie mąż piosenkarki Elżbiety Adamiak, dla której napisał wiele piosenek. Pisał również dla Maryli Rodowicz, Anny Marii Jopek, Edyty Geppert, Grzegorza Turnaua, Lory Szafran, grupy „Pod Budą” i Doroty Stalińskiej. Publikuje „Fielitony z wierszem” w miesięczniku „Zwierciadło”.

Artystom akompaniował Wojciech Borkowski, pianista, aranżer i kompozytor. Wojciech Borkowski jest absolwentem Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej im. Fryderyka Chopina w Warszawie. Od 15 lat piastuje stanowisko kierownika muzycznego warszawskiego Teatru Ateneum.



„Chlip hop czyli nasza mglista lap-top lista” to pełna subtelności humoru, tocząca się przez Skype’a, inteligentna opowieść o blaskach i cieniach naszej egzystencji, przemijaniu, e-mailowej nieszczęśliwej miłości do „mężczyzny, który się nie zdarza” oraz wszelkich konsekwencjach z tej miłości wynikających. Dowcipna całość przepleciona została piosenkami Jeremiego Przybory, Wojciecha Młynarskiego, Jonasza Kofty, Bułata Okudźawy, Agnieszki Osieckiej i Andrzeja Poniedziałkiego. Na scenie, w trzech różnych „mieszkaniach” przygotowanych i umeblowanych przez naszą wspaniałą klubową scenografkę Krysie Okuniewską, zasiedli przed ekranami komputerów Ona (Magda, „Imagine”), On („Andyou”) i Pianista (zwany też przez swych współrozmówców „Alle-gro”). Wszyscy w wieku „stabilnej młodości”, przez dwie pełne godziny snuli „historię o życiu niewesołą, choć pogodnie opowiedzianą”. A sama Magda Umer w recenzji przedstawienia na portalu gazeta.pl tak mówiła o całym przedsięwzięciu: “Opowiadamy sobie o tym, co cenimy, a czego nie. Zwierzamy się sobie ze swoich różnych dziwnych stanów, które są także, mam wrażenie, znane i tym, którzy zasiądą na widowni. I śpiewamy. A odbywa się to w sposób bardzo naturalny. Tak jak w “Zimy żal” śpiewałam “O, Romeo” Jeremiu do telefonu, tak teraz śpiewam Andrzejowi przez Skype”. Wprowadzenie przez artystów do języka poezji określeń technicznych i komputerowych dało ciekawe i komiczne efekty, a niektóre błyskotliwe powiedzonka z przedstawienia z pewnością wejdą do potocznego języka polskiego na stałe, jak na przykład „Starość musi się wyszumieć... i zalogować”. Obok piosenek oryginalnych pojawiły się pastisze (pod melodię słynnego „Volare” podłożono słowa ... reklamujące lek przeciwbólowy), a Andrzej Poniedziałki zachwycił publiczność znakomitą tłumaczeniem jednego z największych utworów Leonarda Cohena „Dance Me to the End of Love”, którego jedna ze zwrotek brzmi: „Płoną w nas zachodem wiecznym całe stada słońc. Śpią ławice gwiazd wygasłych, ciężkie chmury wron. Dotknij nieba myślą senną, ale każdym z tchnień. Tęsknij za kolejnym dniem.” „Chlip hop” stanowiło idealne antidotum nie tylko na naszą szarą polską (choć już nie komunistyczną) rzeczywistość, ale i na sposoby jej przedstawiania przez wszędobylskie i wszechwiedzące media, w których, na co nasi artyści rezolutnie zwrócili uwagę, dużo rozmów o oglądalności i słuchalności, a jakoś nic o... poczytalności. Spektakl wprowadził bardzo licznie przybyłą publiczność (według wstępnych szacunków na spotkanie przyszło około 130 osób) w stan całkowitej euforii, upojenia i radości objawiającej się niekontrolowanymi zupełnie wybuchami śmiechu, bo chociaż temat przemijania należy do tych z gatunku poważnych, to jednak przedstawiony został w sposób najlżejszy z najlżejszych i przy pomocy tekstów równie lekkich co doskonałych, które wyszły spod piór najznamienitszych.

Stroną techniczną przedstawienia zajął się jak zwykle i jak zwykle niezwykle profesjonalnie nasz klubowy kolega Sławek Brzeziński, nad bufetem i dobrym samopoczuciem gości czuwała Lilianna Moradi z córką Roksaną, a śpieszących do świątyni sztuki witały z wdziękiem, uśmiechem i... różami (wszak był to 8 marca) Krysia Kuszta i Danusia Żuchowska. Natomiast Jacek Roszkowski i Lucyna Przasnyska zadbali o uwiecznienie na fotograficznej „kliszy” chwil miłych i niestety ulotnych.

Magda Umer wraz z Andrzejem Poniedziałkim, Wojciechem Borkowskim i menedżerką Małgorzatą Borzym przybyła do Kalifornii na specjalne zaproszenie Klubu im. Heleny Modrzejewskiej. Niżej podpisana miała bowiem przyjemność zobaczyć cały spektakl już wcześniej na dziedzińcu szczecińskiego Zamku Książąt Pomorskich i od tego czasu myśl jedna i marzenie ją prześladowało, aby artyści mogli wystąpić i pod kalifornijskimi strzechami.

Gościnnego i przyjaznego dachu na sztukę najwyższej próby udzielili Państwo Kasia i Bartek Chmielewscy.

O czym donosi
Dorota Czajka-Olszewska

Koncert Urszuli Dudziak 29 marca 2008



Urszula Dudziak, znakomita gwiazda polskiego jazzu odwiedziła Klub Kultury im. Heleny Modrzejewskiej 29 marca 2008 roku, odsłaniając nam odmienną, bardziej intymną stronę swojej muzycznej osobowości. Podczas spotkania w gościnnym polsko-kalifornijskim domu Państwa Elżbiety i Jana Iwańczyków artystka ukazała swój talent jako „chanteuse” - niezwykle różnorodny i osadzony w nadzwyczaj obszernym repertuarze. Urszula Dudziak objawiła się zgromadzonej licznie publiczności nie tylko jako gitarzystka akompaniująca sobie na akustycznym instrumencie, w stylu „singer-songwriter”, ale również jako oddana mama z dumą prezentująca córkę Kasię Urbaniak, pełną wdzięku młodą damę, która miała okazję też wystąpić i zachwycić nas swoim głosem.

Pani Urszula od razu skierowała spotkanie na tory osobiste, wspomnieniowe. Rozpoczęła recital od własnej piosenki napisanej po rozstaniu z mężem Michałem Urbaniakiem, z którym spędziła całe lata koncertując po świecie. Delikatna i nostalgiczna piosenka wyrażała gorycz rozstania. Artystka śpiewała półgłosem, w niskim rejestrze, w tonie zwierzeń. Zaraz jednak zmieniła nastrój opowiadając gościom Klubu o jednym z najbardziej zaskakujących momentów w swojej karierze – niesamowitej popularności standardu napisanego w latach 70., wykonywanego wspólnie z grupą Urbaniaka przez wiele lat, a który dopiero w 2007 i 2008 roku stał się światowym przebojem.

Zatytułowany „Papaya”, utwór ten (bez słów, w szybkim tempie, z chwytliwym refrenem) stał się popularny na Filipinach dzięki wykorzystaniu go przez jedną z tamtejszych stacji telewizyjnych. Taniec „Papaya” – jak nowa Makarena - podbił świat i pojawił się w tysiącach wersji w YouTube, włącznie z najdziwniejszą i najciekawszą, wykonaną przez oddział filipińskiej armii. Urszula Dudziak opowiadała nam, że nawet się wzruszyła oglądając to wideo, bo żołnierze rzucili karabiny i zaczęli razem tańczyć, pokazując, że muzyka i taniec kładą koniec wojnie i agresji.

Wieczór wypełnił więc monolog artystki, która podzieliła swój czas między opowiadanie zabawnych anegdotek ze swojej światowej kariery i życia w dwóch krajach oraz zaprezentowanie zestawu standardów jazzowych, piosenek polskich i amerykańskich, włącznie z „Już szumią kasztany” z repertuaru Magdy Umer, która niedawno gościła w Klubie. Po tak ciekawych i zdawało się wyczerpujących opowieściach trudno było niżej podpisanej zadawać pytania. Okazało się jednak, że jest jeszcze wiele tematów do poruszenia, bowiem podczas samego koncertu Pani Urszula opowiadała o swoim spojrzeniu na życie i muzykę, a po koncercie mogłam zapytać ją głównie o sprawy czysto warsztatowe, muzyczne.

Zaczynając karierę wokalistki jazzowej młoda Urszula była jeszcze w szkole średniej, kiedy miała okazję zaśpiewać dla Krzysztofa Komedy, który natychmiast zaoferował jej pracę z własnym zespołem. Rozpoczęta od tak wspaniałego partnera muzycznego kariera zaprowadziła Urszulę Dudziak na szczyty muzycznej profesji - do nagrody Śpiewaczki Roku (mianowana w 1979 roku przez „Los Angeles Times”) oraz artykułów w najważniejszych pismach jazzowych. Album „Newborn Light”, nagrany z Adamem Makowiczem dla amerykańskiej firmy płytowej Columbia, otrzymał w prestiżowym amerykańskim magazynie „Down Beat” maksymalną ocenę pięciu gwiazdek. Dudziak fascynowała się stylem skatowania Elli Fitzgerald i rozszerzyła swój repertuar wokalny o zbliżony styl bezsłownego improwizowania oraz całą feerię efektów dźwiękowych wykorzystujących olbrzymią rozpiętość jej głosu. Na pytanie czy pomogła jej w tym elektronika, odpowiedziała, że tak – fascynowały ją możliwości przetwarzania głosu za pomocą specjalnej aparatury, efekty zniekształceń, echa, pogłosu oraz innych technicznych sztuczek. W koncertach posługiwała się często różnego rodzaju elektroniką, nagrywała wielościeżkowo i bawiła się nowymi zabawkami technologii dźwięku, zwłaszcza po emigracji do Ameryki w 1973 roku. W latach 70. stała się światowej sławy reprezentantką stylu fusion. W trakcie swej bogatej i ciekawej kariery nagrała ponad 50 płyt. Wiele płyt od lat 60. nagranych było z grupą Urbaniaka, więc rozstanie osobiste stanowiło moment przełomowy w karierze artystycznej. W latach 80. Pani Urszula miała innych wspaniałych partnerów muzycznych takich jak Vocal Summit Group i solista grupy Bobby McFerrin. Dużo odwagi do kariery solowej dał jej moment wspólnego występu na prestiżowym koncercie Jazz Jamboree w Warszawie, gdzie była zaproszona z Urbaniakiem, a pojechała z McFerrinem, który z entuzjazmem zgodził się zaśpiewać w duecie. Koncert był triumfem wokalistki i początkiem solowej kariery.

Zapytana o porównanie wykonań w studio z tymi na żywo, przed publicznością, Pani Urszula odpowiedziała, że muzyka jazzowa, improwizowana pod wpływem innych muzyków w tym samym zespole, zawsze się zmienia, w każdym wykonaniu jest nowa, a najlepsze nagrania są z koncertów, gdzie słychać energię muzyczną, grę motywami i frazami i przerzucanie „punktu ciężkości” wykonania od jednego muzyka do drugiego. Jest w tej radości muzykowania coś nadzwyczajnego, niesamowite poczucie wolności i kreatywności. Artyści estrady czy jazzmeni nie zamienią tej radości wspólnego tworzenia na zimne matematyczne wyrachowanie studia, gdzie można wielokrotnie powtarzać i montować każdy fragmencik, ale czasem brakuje „życia”. Porównanie „Kolęd” nagranych przez Urszulę Dudziak w duecie z Grażyną Auguścik z ich interpretacją podczas ostatniego koncertu promującego dysk w 1996 roku, wypadło na korzyść koncertu. Dwudziestominutowa improwizacja na temat „Przybieżeli do Betlejem” wypełniona skatowaniem, dialogami obu wokalistek, solami perkusji i kontrabasów, to była wspaniała uczta muzyczna, której mieliśmy okazję być świadkami w Jazz Bakery w Los Angeles. Dudziak i Auguścik pokazały, że nawet nasze stare kolędy mogą się stać materiałem muzycznym dla jazzu, jeśli do dzieła zabiorą się tak wielkiej klasy artystki. Gdy przypomniałam jej o tym koncercie, uśmiechnęła się tylko: „A rzeczywiście...”

We wspomnieniach muzyczno-życiowych Pani Urszula opowiadała nam też o związku ze wspaniałym, tragicznie zmarłym pisarzem Jerzym Kosińskim, autorem słynnego „Malowanego ptaka”, powieści która zainspirowała jedno z nagrań artystki.

Kosiński uwielbiał jej głos, a Pani Urszula śpiewając dla niego samego, w domu, bez akompaniamentu, umiała osiągnąć wyżyny improwizacji jakich już nikt nigdy nie usłyszy. Były to wersje muzyki intymne, serdeczne, ciepłe, a jednocześnie wirtuozowskie, jak przystało na okazje śpiewania dla tak wybitnego pisarza. Na spotkaniu w Klubie Modrzejewskiej wdzięczni słuchacze mogli się również dowiedzieć jaką filozofię życia wyznaje artystka. Zawsze optymistycznie i pozytywnie nastawiona do świata nie traci energii na narzekanie. Elegancko i nowocześnie ubrana w długi żakardowy żakiet, Urszula Dudziak nie ukrywała swoich 65 lat, publicznie ciesząc się z faktu, że ma takie udane, bogate i ciekawe życie, wypełnione przygodami muzycznymi i spotkaniami z fascynującymi osobami czy muzykami jak: Herbie Hancock, Dizzy Gillespie, Clark Terry, Ron Carter, Wynton i Branford Marsalis, Gil Evans, Sting, Lionel Hampton, Archie Shepp, DJ Vadim i Lester Bowie. Artystka opowiadała też o swojej działalności na rzecz miasta z rodzinnych stron, które nagrodziło ją tytułem honorowej obywatelki.

Gratulując Pani Urszuli wspaniałych osiągnięć i nagród, życzymy jej jeszcze wielu znakomitych nagrań i koncertów w przyszłości.

Wszak niektóre z najciekawszych wersji standardów w wykonaniu Elli Fitzgerald powstały w jej „późnym okresie” wypełnionym mądrością i ciepłem jakie zdobywa się wraz z doświadczeniem życiowym.

Maja Trochimczyk





Spotkanie z Danutą Szaflarską, Dorotą Kędzierzawską i Danutą Stenką 27 kwietnia 2008



Podczas IX Festiwalu Polskich Filmów w Los Angeles, piękny i gościnny dom Państwa Haliny i Andrzeja Jagodów otworzył swoje drzwi dla trójki znakomitych gości festiwalu. Słynne aktorki Danuta Szaflarska i Danuta Stenka oraz znana reżyserka Dorota Kędzierzawska stały się na jeden wieczór także naszymi gośćmi w Klubie. W salonie z widokiem na piękny, kalifornijski ogród, trzy gwiazdy polskiego kina prowadziły lekką i dowcipną konwersację o swoich doświadczeniach na deskach teatrów i przed kamerami filmowymi. Panie dzieliły się ze sobą i z nami anegdotami, żartami i opowiadaniem o ciekawych przygodach w świecie sztuki filmowej. Z ogromną przyjemnością służyłam jako „moderator” owej rozmowy, niczym polska Barbara Walters bez chirurgii plastycznej...

Weteran sceny, 93-letnia Danuta Szaflarska, zrobiła ogromne wrażenie na zebranej publiczności. Wspaniała, drobniutka i wesoła aktorka, była bardzo skromna i nieśmiała, i koleżanki po fachu musiały ją zachęcać, żeby powiedziała coś więcej o swoich sukcesach i nagrodach. Rozmowę zaczęliśmy od jej wojennych doświadczeń jako łączniczki w Powstaniu Warszawskim. Moje „streszczenie” jej roli w Powstaniu, Szaflarska skwitowała „Jaka tam łączniczka. Ja nie byłam nikim specjalnym. Po prostu jak trzeba było gdzieś zanieść jakąś wiadomość, z jednej części miasta do innej, od jednego oddziału do drugiego, to ja zanosiałam...”. Opowiedziała też swoje dzieje w podziemnym wojennym teatrze oraz o powrocie na scenę i do filmu tuż po wojnie. Zapytana o rolę w swoim pierwszym kinowym przeboju, „Zakazane piosenki”, Szaflarska odpowiedziała, że najważniejsze w tym filmie były piosenki satyryczne wymierzone przeciwko okupantom oraz przekaz nadziei jaki one niosły. „A film każdy zna, to nie ma o czym mówić...”.

Wielka aktorka miała więcej do powiedzenia o swojej współpracy z Dorotą Kędzierzawską, jedną z najciekawszych polskich reżyserek, tworzącą stylowe kino autorskie, ze wspaniałymi obrazami i skupionymi intymnymi portretami bohaterów, głównie kobiet i dzieci. Szaflarska z humorem stwierdziła, że Dorota Kędzierzawska musi ją sobie chyba wyobrażać jako wiedźmę i jędzę, bo tylko w takich rolach jest obsadzana, aż do roli we wspaniałym filmie prezentowanym na festiwalu, „Pora umierać”. Zapytana o przygotowania do tej roli i o to czy identyfikowała się z postacią zdiwaczalnej, samotnej staruszki, obserwującej przez okno swoich sąsiadów i wyczekującej na telefony od syna w ogromnym, pustym domu, Szaflarska stwierdziła: „Ja jestem aktorką i gram różne role, ludzi do których wcale nie jestem podobna.

Mam wspaniałą rodzinę, wcale nie jestem samotna, więc mój portret starszej pani w filmie był oparty na moim warsztacie aktorskim, nie osobistych przeżyciach”. Jej zdolność do wcielania się w postacie diametralnie różne, ma, naturalnie, swoje limity – Andrzej Wajda zaprosił ją tylko do jednego filmu, „Korczak”, gdzie miała grać okropną, starą, grubą Żydówkę. Oczywiście mogła być stara, mogła być Żydówką, ale grubą? Tego zagrać się nie dało. Wielka gwiazda polskiego kina zabawiła gości wieloma historyjkami z planu „Pora umierać”. Chłopiec grający małego chuligana, który wdrapał się przez okno do oszklonej werandy na drugim piętrze domu, wcale takim urwisem w rzeczywistości nie był. Okazał się bardzo miły i kupił jej drogi prezent, śliczną filiżankę z pięknej porcelany. Pies, który był tak wspaniałym partnerem na ekranie jako Filadelfia, czyli suka Fila, nie był suką tylko psem właśnie i też grał tę rolę jak artysta. Ciekawe, że początkowo inny psi aktor został wytypowany do tej roli. Pies trenowany przez parę tygodni specjalnie do tego filmu, po prostu „zamierał” przed kamerą, natomiast ten nowy, wprowadzony na plan jako ostatnia deska ratunku, był zupełnie „naturalny”. Z radością wykonywał wszystkie zadania i popisując się swoimi talentami i urokiem nie tylko dla małych smakoszy, jakie dostawał po każdej scenie, ale i dla przyjemności bycia podziwianym. Prawdziwy aktor – skwitowała Pani Szaflarska.

Reżyserka filmu Dorota Kędzierzawska włączyła się do dalszej dyskusji o „Pora umierać”, zaczynając od trzeciego bohatera w triumwiracie starej pani, psa i pięknego domu. Okazało się, że zabytkowy dom w lesie był sfilmowany w dwóch domach, jeden dostarczył widok z ogrodu, a drugi wnętrza. Pani reżyser z operatorem Arturem Reinhartem odwiedziła ponad 200 domów w okolicach Otwocka zanim wybrała owe dwa historyczne budynki. Zanim film został ukończony, dom „wnętrz” został już zdemolowany i zastąpiony nowym, tak jak planował sąsiad i syn staruszki w filmie.

Dom ten grał wielką rolę w filmie nie tylko ze względu na same pokoje, salony, piece, schody... Okna miały ręcznie lane stare szybki, które zniekształcały świat przez nie oglądany. Wystarczyło postawić przed oknem kamerę, by pokazać dziwny, fascynujący punkt widzenia starszej pani, z rozproszonym światłem i „pływającymi” obrazami. Fotografowana przez okno postać stawała się jeszcze bardziej wyobcowana, oddalona. Przepiękna warstwa wizualna w tym czarno-białym filmie była tak intensywna, że zapomniało się o braku koloru, tak artystycznie skomponowane były wszystkie kadry. Równie perfekcyjna była warstwa dźwiękowa, wykorzystanie muzyki i efektów dźwiękowych do pokazania stanów psychicznych bohaterki filmu. Gdy marzyła o młodości, zamglonym obrazom towarzyszył słodki, sentymentalny walc, nagle przerywany ostrym szczekaniem psa i powrotem do rzeczywistości. Cisza, wiatr, skrzypienie schodów, różne typy muzyki – wszystkie dźwięki stanowiły zaplanowaną, integralną warstwę filmu.

W odpowiedzi na mój komentarz o bliskości estetyce filmów Andrzeja Tarkowskiego, gdzie skupienie na powtarzanych obrazach z życia codziennego w starych domach (firanka powiewająca w oknie, rozlane mleko, grube kromki chleba, kropla deszczu na szybie) tworzyło niepowtarzalny klimat filmu, Kędzierzawska przypomniała nam, że przecież studiowała także i w Moskwie i dobrze zna i ceni mistrzów rosyjskiej kinematografii. Echo tych wpływów można było znaleźć w filmie „Nic” w stylizowanej scenie matki z dziećmi na ogromnych schodach, przypominającej słynną scenę schodów odeskich w „Pancerniku Patiomkin” Siergieja Eisensteina. To zakorzenienie w europejskiej tradycji było bardzo wyraźne w wielu kadrach filmów „Nic” (Leonardo da Vinci, prerafaelici) i „Pora umierać” - pokazanych w tym roku na festiwalu. Obydwa filmy powstały z inspiracji aktualnymi wydarzeniami a ich główne postacie miały wzory w rzeczywistości. Kędzierzawska ma szerokie doświadczenia w świecie filmów dokumentalnych i pisze scenariusze inspirowane samym życiem. Jest także znana ze wspaniałej pracy z dziećmi i umie zachęcić je do pełnej naturalności na ekranie, nie jako słodkie maleństwa, ale skomplikowane osobowości - uparte, gapiowate, smutne, czy dokuczliwe. Następne pytanie o swobodę twórczą w okresie studiów w PRL oraz w okresie Solidarności zainspirowane było opowieścią innego, dawniejszego gościa Klubu, Agnieszki Holland o jej czasach studenckich, czasach prawdziwej wolności artystycznej i głębokich przyjaźni, pogłębionych solidarnością wobec wspólnego wroga, która zanikła, gdy kino się skomercjalizowało po zmianie systemu politycznego. Podobnie jak Agnieszka Holland, Panie Kędzierzawska i Stenka z nostalgią wspominały lata studiów oraz ferment artystyczny i polityczny, w którym brały udział.

Słynna polska gwiazda filmowa Danuta Stenka oczarowała obecnych urodą, wdziękiem i skromnością w ocenie swoich sukcesów. Kiedy zapytałam ją o rolę w filmach Wajdy, podkreśliła, że podobnie jak

Danuta Szaflarska, została zaproszona tylko do jednego filmu Wajdy, do drugoplanowej roli w „Katyniu”. Aktorki stwierdziły więc, że Wajda ich nie lubi, skoro obsadził obie tylko raz. Co prawda, efekty artystyczne pracy Pani Stenki były tak wspaniałe, że za rolę tę otrzymała nagrodę Orła (odpowiednik polskich Oskarów) w 2008 roku. Inny przykład wspólnych doświadczeń to fakt, że obie panie dzielą karierę filmową i teatralną, występując na deskach sceny w sztukach współczesnych i klasycznych, włącznie z Szekspirem. Tu też okazało się, że obie panie grały tę samą postać, niepokromioną Kasię w „Poskromieniu złościcy”... przygotowaniach do tego filmu jej doświadczenie sceniczne zostało wykorzystane przed kamerą w niekonwencjonalny sposób. Reżyser zebrał swoich aktorów na długi okres prób w stylu teatralnym na miesiąc przed rozpoczęciem zdjęć. Ten nietypowy sposób pracy i zapamiętanie całego dialogu (trzeba całą rolę umieć na pamięć, bo jak się czyta kwestie, dużo się traci na wyrazie emocjonalnym) umożliwił pogłębienie psychologicznego wymiaru postaci i ich wzajemnych relacji. Dzięki tym długim próbom postacie stały się naturalne i „prawdziwe”. Przypomniałam tu zgromadzonym, że Jerzy Antczak i Jadwiga Barańska są stałymi i częstymi gośćmi Klubu. Stenka, jak wiele wybitnych aktorów, bardzo sobie ceni pracę z reżyserami, którzy pozwalają jej wnieść coś własnego, indywidualnego do roli. Przeciwnieństwem takich reżyserów jak Wajda czy Antczak był Robert Wilson, wizjoner teatru i opery, który planuje swoje spektakle w każdym detalu. Reżyserował on spektakl w Polsce oparty na sztuce jaką uprzednio przedstawił we Włoszech i Holandii. Przygotowując się do ról, aktorzy musieli reprodukować jak automaty wszystkie gesty, intonacje i zachowania sfilmowanego wzoru, metodą „stop-klatka”.

Pani Stenka, podobnie jak Pani Szaflarska, chwaliła swoich ulubionych reżyserów i pracę z tak wybitnymi artystami jak Jerzy Antczak. W jego filmie „Chopin, pragnienie miłości” grała rolę George Sand.

Pani Stenka opisywała sztywność gestów, nienaturalność wysokiego głosu w jednej ze scen (w innych musiała mówić prawie basem) oraz opór aktorów, którzy nie chcieli zamienić się w roboty. Postanowili jednak zrealizować wizję autorską Wilsona i ich wersja okazała się najlepsza ze wszystkich, najbardziej wierna jego intencjom.

Zadałam Paniom wiele pytań o ich karierę sceniczną, nie pytając co wolą robić i co lepsze - film czy teatr - bo wiadomo, że wyboru dokonać nie można, ale czy warsztat i doświadczenia z jednej dziedziny przydają się w innej. Tutaj okazało się, że reżyserzy filmowi uważają, że gra aktorów teatralnych jest zbyt przesadzona i przez to pozbawiona intymności i delikatności jakiej oczekuje się od aktorów filmowych. Obydwie gwiazdy, dumne ze swojego aktorskiego warsztatu, zgodziły się, że to postawa nonsensowna, bo jedno doświadczenie wzbogaca drugie i po to jest się zawodowcem, żeby wiedzieć co, gdzie i jak zagrać.

Na zakończenie wieczoru zmieniłam temat i zapytałam Panią Stenkę o jej strony rodzinne na Kaszubach. Nagrodziła mnie i publiczność klubową wygłoszeniem kilku kwestii w języku kaszubskim i opowieścią o pięknie lasów i jezior w rodzinnej okolicy, którego nie była w stanie docenić jako młoda dziewczyna, tak była do tych widoków przyzwyczajona. Pani Danuta opowiadała też o swoich podróżach na Kaszuby i występach w małych przedstawieniach wśród „swoich”.

Wizyta Danuty Szaflarskiej, Doroty Kędzierzawskiej i Danuty Stenki była nadzwyczajną okazją poznania wielkich osobowości i artystek. Na zakończenie wypada tylko podziękować trzem wielkim Damom Polskiego Kina za ich obecność wśród nas.

Maja Trochimczyk

Danuta Szaflarska znana jest wszystkim z niezapomnianych „Zakazanych piosenek” i „Skarbu”. W 2007 roku na Festiwalu w Gdyni za rolę w „Pora umierać” w reżyserii Doroty Kędzierzawskiej nagrodzona została wyróżnieniem dla najlepszej aktorki. Wcześniej na tym samym festiwalu Danuta Szaflarska dwukrotnie otrzymała wyróżnienia dla najlepszej aktorki drugoplanowej za filmy „Diabły, diabły” i „Pożegnanie z Marią”.

Danuta Stenka jest jedną z najbardziej znanych i podziwianych współczesnych polskich aktorek filmowych i teatralnych. Ukończyła Studium Aktorskie przy Teatrze Wybrzeże w Gdańsku. Prawdziwą popularność przyniósł jej serial „Boża podszewka” oraz filmy „Ekstradycja” i „Chopin – pragnienie miłości”, w którym wcieliła się w postać francuskiej pisarki George Sand, za co otrzymała dwie najbardziej prestiżowe nagrody aktorskie w Polsce – Złotą Kaczkę i Złotego Orła. Inne wyróżnienia to: „Paszport Polityki” i nagroda im. Aleksandra Zelwerowicza za rolę Elidy Wangel w przedstawieniu „Kobieta z morza” według Ibsena. Zagrała też główną rolę w „Nigdy w życiu”, filmie opartym na bestsellerowej powieści Katarzyny Grocholi. Ostatnie filmy, w których Danuta Stenka wystąpiła to: „Katyń”, „Jeszcze raz” i „Lejdis”.

Dorota Kędzierzawska jest absolwentką kulturoznawstwa na Uniwersytecie Łódzkim, Wydziału Reżyserii WGIK w Moskwie oraz Wydziału Reżyserii PWSTviT w Łodzi. Otrzymała wiele nagród na festiwalach polskich i zagranicznych, między innymi: za film „Wrony” Nagrodę Specjalną Jury na Festiwalu Filmów Fabularnych w Gdyni, Grand Prix Bronze na Międzynarodowym Festiwalu Filmowym dla Dzieci i Młodzieży w Bellinzona i nagrodę „Charlie Chaplin” na Międzynarodowym Festiwalu Filmów Komediodowych w Vevey, a za film „Jestem” Nagrodę Specjalną Jury Kinderfilmfest na festiwalu w Berlinie oraz Nagrodę Publiczności na festiwalu „Free Zone” w Belgradzie.





**Projekcja filmu „Trzech kumpli”
(Stanisław Pyjas, Bronisław Wildstein, Lesław Maleszka)
i rozmowa z reżyserem Anną Ferens
28 czerwca 2008**

W Klubie Kultury im. Heleny Modrzejewskiej 16 czerwca 2008 roku odbył się pokaz filmu "TRZECH KUMPLI" w reżyserii Anny Ferens i Ewy Stankiewicz. Film trafił do dystrybucji zaledwie dwa tygodnie przed pokazem w Klubie. Opowiada on o dramatycznej historii przyjaźni trzech studentów polonistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego: Stanisława Pyjasa, Lesława Maleszki i Bronisława Wildsteina. W losach bohaterów odbija się historia socjalistycznej Polski, czasów transformacji i demokracji. Jak w greckiej tragedii - jeden z bohaterów zostaje zamordowany, drugi okazuje się zdrajcą kreującym się na autorytet moralny w jednym z największych polskich dzienników, trzeci wciąż dochodzi sprawiedliwości i prawdy.

Stanisław Pyjas urodził się w 1953 roku, a zmarł w 1977 roku w Krakowie. Potencjalni świadkowie śmierci Pyjasa zginęli w niewyjaśnionych okolicznościach. Staszek Pyjas był opozycyjnym działaczem okresu PRL-u. W latach 1976-1977 spontanicznie włączył się do organizowania protestów przeciwko represjom władzy wobec robotników Radomia i Ursusa. Współpracował z Komitetem Obrony Robotników. Śmierć Pyjasa wywołała masowe demonstracje studentów ("Czarny Marsz") i bojkot juwenaliów. Wieczorem 15 maja 1977 roku na zakończenie "Czarnego Marszu" odczytano pod Wawelem deklarację zawiązującą Studencki Komitet Solidarności w Krakowie. Była to pierwsza tego rodzaju organizacja w Europie Wschodniej, której celem stała się obrona praw środowiska studenckiego i walka z komunistyczną władzą.

Po projekcji goście mieli okazję spotkać się i porozmawiać z reżyserką filmu Anną Ferens, scenarzystką i producentką, absolwentką dziennikarstwa i nauk politycznych na Uniwersytecie Warszawskim.

Na jej filmografię składają się między innymi: "Życie pośmiertne Adama Mickiewicza", "Moskwa według Saszy", "Gdzie Bóg rozumie po polsku", "Czuły dotyk", "Zapoznam panią", "Żydzi w Powstaniu Warszawskim" (wyróżniony na Międzynarodowych Dniach Filmu Dokumentalnego w Lublinie i prezentowany na zeszłorocznym Jewish Film Festival w Los Angeles) oraz "Gdzie rosną poziomki?", dokument o nowoodkrytych grobach Polaków zamordowanych przez NKWD na terenie Ukrainy. Film "Gdzie rosną poziomki?" pokazany był na VIII Polskim Festiwalu Filmowym w Los Angeles. Przy realizacji "Trzech kumpli" Anna Ferens wraz z Ewą Stankiewicz dotarły do nigdy nieprzesłuchiwanym osób oraz do kilkunastu byłych funkcjonariuszy Służb Bezpieczeństwa.

Gościny Klubowi udzielił Państwo Monique i David Lehman.



